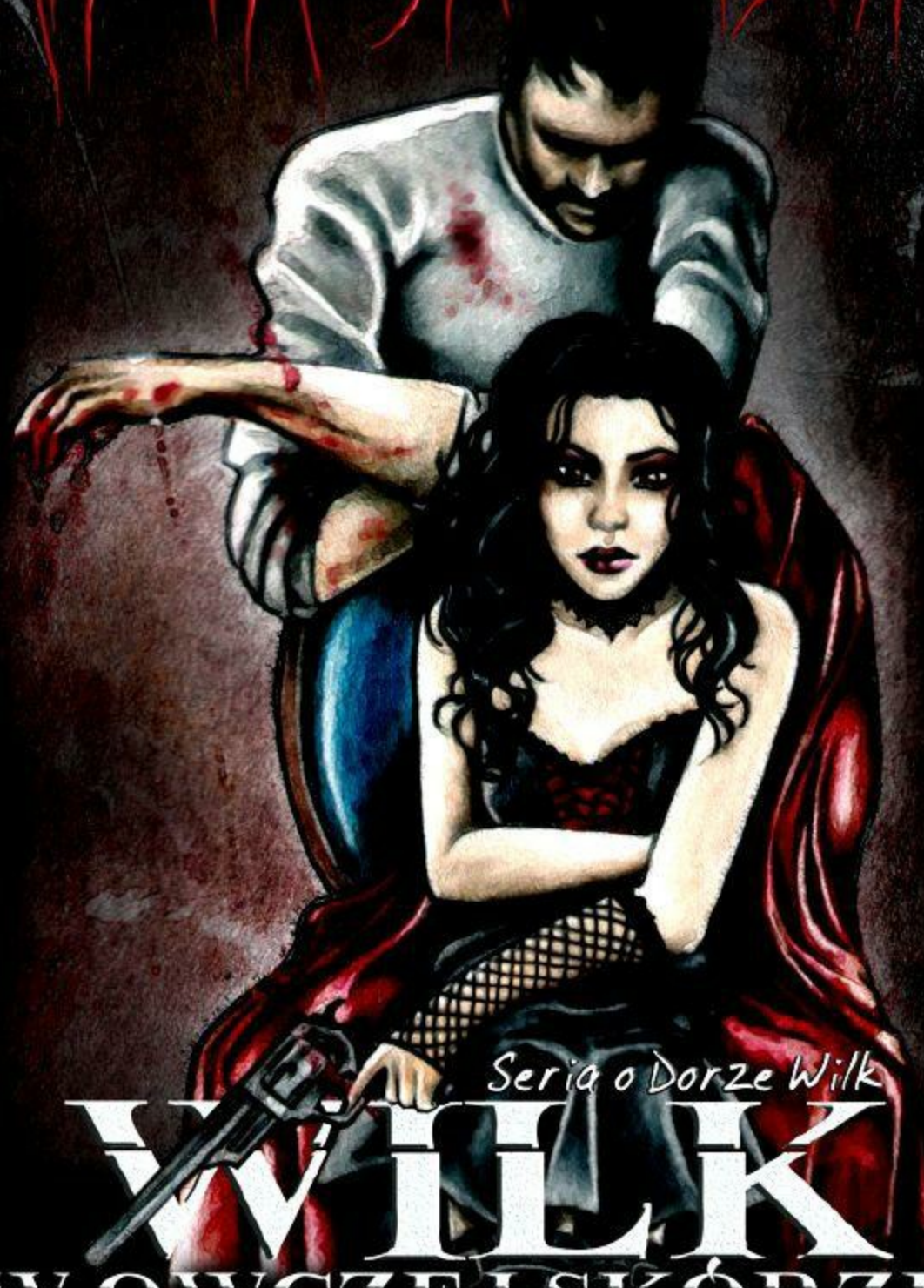


ANETA JADOWSKA



*Seria o Dorze Wilk*

# WILK

W OWCZEJ SKÓRZE



# Jadowska Aneta

## Wilk w owczej skórze

Łącznik, między "Złodziejem dusz" a

"Bogowie muszą być szaleni"

Upiłam jeszcze jeden łyk zbyt słabej i za mało słodkiej herbaty, czekając, aż kobieta przejdzie do rzeczy. Zwykle pierwsze spotkanie z klientem odbywałam w Szatańskim Pierwiosnku, na własnym terytorium, ale tym razem zrobiłam wyjątek na wyraźną prośbę Katarzyny. Moja potencjalna klientka, kobieta na oko pięćdziesięcioletnia, może nieco młodsza, miała dobry powód, by nie oddalać się od domu – jako wiedźma ziemi była dosłownie przywiązana do swojego ogrodu. Godzinny spacer z centrum dla mnie był po prostu irytujący, dla niej byłby bolesny. Zwłaszcza pod koniec cyklu wegetacyjnego, a mieliśmy piękną końcówkę października. Tak więc siedziałam w salonie kipiącym od falbanek i kwiecica – na tapecie, na obiciu kanapy i w licznych wazonach porozstawianych na każdym kawałku wolnej przestrzeni – i popijałam herbatę, która, byłam tego coraz bardziej pewna, nawet nie była herbatą, a jakimś ziołowym naparem.

- Pani Kalino – zagałam, przerywając jej wywód o tegorocznych zbiorach porzeczek – jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałabym przejść do sedna. Dlaczego pani potrzebuje prywatnego detektywa?

- Nie wygląda pani na detektywa – powiedziała cicho.

Spojrzałam po sobie. No cóż, nie nosiłam prochowca ani panamy, tylko dzinsy i skórzaną kurtkę, spod której wystawał czarny sweterek. Ale miałam za sobą wiele lat doświadczenia w policji i od dwóch tygodni próbowałam rozkręcić w Thornie swoją agencję. Zainteresowanie było spore, ale w dużej mierze spowodowane ciekawością ludzi, chcących z bliska obejrzeć dziewczynę, która gołymi rękoma wyrwała serce wampirowi. Plotki rozchodzą się w Thornie błyskawicznie, bez paparazzi czy tabloidów.

- Jestem nim. Może mi pani zaufać – zapewniłam.

- Katarzyna zapewniała mnie, że mogę...

Umilkła nagle i poczerwieniała. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że jej wcześniejszy słowotok roślinny miał maskować zdenerwowanie. Co wytrącało ją z równowagi?

- Chodzi o moją córkę, zaginęła, od tygodnia nie daje znaku życia – powiedziała szeptem. Po jasnym blacie stolika kawowego przesunęła w moją stronę fotografię.

Dziewczynka wyglądała na czternaście lat, drobna, o nieco zbyt szczupłej buzi i oczach nieproporcjonalnie dużych, jak u bohaterki mangi. Jasnobrązowe włosy, zaczesane za uszy, wiły się na szyi miękkimi falami. W kąciку ust czaił się uśmiech, który nie zdążył się rozwinąć przed błysnięciem flesza.

- Czy jest wiedźmą ziemi, jak pani? – zapytałam, bo jeśli tak, to zaginięcie byłoby szczególnie niepokojące. Wiedźma nie opuściłaby dobrowolnie swojego terytorium na ponad tydzień, chyba że przenosiłaby się z posiadłości rodziców do własnego domu i ogrodu, albo po przeprowadzeniu konkretnych rytuałów podtrzymujących więź z ziemią, ale o tym Kalina by pewnie wiedziała.

- Nie. Claudia nie jest wiedźmą... – przymknęła powieki, niemal przejrzyste, lekko fiołkowe od drobnych naczynek krwionośnych, widocznych przez cienką skórę. Drobny skurcz w lewym kącie ust zdradzał, że to dla niej trudne wyznanie. – Claudia jest człowiekiem.

Zatkało mnie.

- Pani mąż?

- Nie, Witold jest znachorem, również z linii ziemi. Nasi trzej synowie także. Tylko Claudia...

- No tak – powiedziałam, bo sytuacja była co najmniej niezręczna i nietypowa.

W teorii, z dwójki magicznych rodiły się magiczne dzieci, skoro z obu stron występowały recesywne geny istot nadprzyrodzonych, ale od każdej reguły były wyjątki, jak widać. To nie było częste i z pewnością nie było łatwe. Dla nikogo. Nierzadko takie dzieci oddawane były do adopcji lub dalszej rodziny tuż po narodzeniu i pierwszej ocenie

potencjału magicznego, bo wychowanie ludzkiego dziecka w Thornie czy Trójprzymierzu nie tylko ciężką próbą, ale i ryzykiem. Przede wszystkim cierpiało ono. Traciło szansę na normalne życie między podobnymi sobie, pozyskiwało wiedzę, której nie powinno mieć, żyło w otoczeniu istot mających dary, których mogło im zazdrościć. Dorastanie w poczuciu niesprawiedliwości i krzywdy nie jest najzdrowsze, dla dziecięcej psychiki. Z czasem rozdźwięk między magiczną rodziną a ludzkim dzieckiem powiększał się, mogła pojawić się szczerza nienawiść i złość. Szkoły w Thornie nie nadawały się dla niemagicznego dziecka, a uczęszczanie do szkół w realnym mieście i mieszkanie po drugiej stronie bramy było wyzwaniem dla nastolatków, a co dopiero dla małych dzieci. Ryzyko, że nieświadomie zdradzą nasze sekrety było na tyle duże, że wiele rodzin nie decydowało się na takie rozwiązanie. Ale oddanie dziecka nie było łatwe. Dla żadnej ze stron. Znałam tę sytuację w odwróconej wersji – jako magiczne dziecko wychowywałam się w realnym świecie z ludzką rodziną. Wiele bym dała, by trafić w niemowlęctwie do adopcji i wychowywać się między takimi jak ja. Moje życie byłoby łatwiejsze. Ale rodzice Claudii należeli do linii bardzo konserwatywnych i tradycyjnych, rodzina była dla nich świętością, więzy krwi najwyższym prawem. Nie, oni nie oddaliby swojego dziecka nikomu, nawet dla jego dobra.

- Jak się układały stosunki między Claudią i resztą rodziny? –

zapytałam, starając się być tak delikatną, jak to możliwe.

Przygryzła wargę i milczała. – Pani Kalino, ja naprawdę rozumiem zasadę świętości i nienaruszalności ogniska domowego. Szanuję prawo do prywatności pani i pani rodziny, ale, jeśli mam odnaleźć pani córkę, muszę wiedzieć, jak się wam żyło pod jednym dachem. Jak wyglądał jej świat i czy zniknięcie może być skutkiem świadomej decyzji, czy przymusu... Proszę mi zaufać, bo bez odpowiedzi na te pytania będę bezradna. Proszę też pamiętać, przyjmując zlecenie zobowiązuję się do całkowitej dyskrecji.

Skinęła głową i podniosła się z kanapy. Już myślałam, że odprowadzi mnie do wyjścia, ale nie, zaczęła wspinać się po schodach na piętro. Na końcu korytarza, na drzwiach, zauważyłam wypisane czarnym sprayem imię Claudii.

- To jej pokój, myślę, że więcej powie o naszych relacjach, niż ja jestem w stanie. Proszę wejść, ja tu poczekam –

powiedziała, popychając drzwi i zostając na korytarzu. Jej twarz pobleła, a nad górną wargą wyraźnie perliły się kropelki potu. Owinęła się ciasno ramionami i zgięła w pół, jakby doskwierały jej wrzody żołądka. Wkroczyłam do pokoju dziewczyny niespokojna o to, co tu znajdę.

Czarne ściany mnie nie zaskoczyły. Zbuntowana nastolatka w domu, który wygląda jak kwiaciarnia, nie ma wielu

możliwości, by radykalnie przedstawić swój światopogląd. Za to parę innych rzeczy i owszem było niespodzianką. Ciemna energia wypełniała pokój całkowicie. Gęsia skórka pojawiła się na moich ramionach, włoski stanęły dęba na karku. Zło było niemal namacalne. Instynktownie podeszłam do szafy ściennej i szarpnęłam drzwi. Na zamontowanych w niej półkach leżały kości zwierzęce, w tym dwie kompletne czaszki. Psie lub wilcze, dość duże i pożółkłe ze starości robiły przykre wrażenie. Było też kilka przedmiotów rytualnych – kielichy, sztylet, kilka amuletów ozdobionych kępkami kruczych i sowych piór. Duże bryłki onyksu i czarnego kryształu leżały obok stopionych częściowo świec. Oczywiście czarnych i bordowych. Westchnęłam ciężko. Naprawdę wolałabym nie mieć do czynienia z kolejnym magiem. Nie widziałam żadnego grimuaru, więc nie wiedziałam, z czym bratała się dziewczyna.

- Od jak dawna Claudia para się czarną magią? – zapytałam dość głośno, by Kalina usłyszała mnie na korytarzu.

- Nie robi tego – odpowiedziała słabym głosem.

Uniosłam brew w powątpiewaniu. Zbiory dziewczyny mówiły same za siebie.

- Naprawdę, ona... może nawet próbowała, ale do czarnoksięstwa potrzeba choć iskry magii, a ona... nie ma nic.

Myślę, że nie mogłaby zostać nawet viccanką czy czarownicą.



- Więc dlaczego? – wskazałam na laboratorium czarnych ingrediencji w szafie. Starczyłoby tego na całkiem sporą, czarną rzecz jasna, mszę.

- To z naszego powodu – powiedziała głucho. – Ona nie wyczuwała mocy tych przedmiotów, ale wiedziała, że nam ich sąsiedztwo sprawia ból. To nie jest złe dziecko, ale... ciężko jej się pogodzić z tym, że nie dostała swojej magii. Może źle zrobiłam, pozwalając jej z nami dorastać... – Otarła spływające po policzku łzy. – Ale nie potrafiłam się z nią rozstać.

Skinęłam bez słowa, odwracając się dyskretnie, by mogła doprowadzić się do porządku. Przeszłam przez cały pokój i zatrzymałam się przy biurku zavalonym papierami. Na ścianie przed nim wisiała duża korkowa tablica. Claudia pinezkami poprzypinała do niej notatki, plan zajęć, zdjęcia i rysunki. Nachyliłam się, przyglądając jednemu zdjęciu. Młoda dziewczyna, na oko dziewiętnastoletnia, z czarnymi, farbowanymi włosami, jasną karnacją i przesadnie wyrazistym, gotyckim makijażem, obejmowała smukłego chłopaka o smutnych oczach i twarzy modela. Neon za plecami pary wskazywał na miejsce, w którym zdjęcie zrobiono – bar w Toruniu. Coś tu się nie trzymało kupy.

- Pani Kalino, ile lat ma Claudia?

Przez chwilę milczała, nim wykrztusiła:

- Dziewiętnaście.

Potarłam palcami powieki. Teoretycznie nie było tu sprawy.

Dorosła, pełnoletnia dziewczyna tydzień temu opuściła dom.

Nie było śladów sugerujących, że spotkało ją coś złego, za to

sporo wskazujących, że nie czuła się dobrze w domu

rodzinnym i mogła chcieć odejść. Niekoniecznie mówiąc o

tym matce. Zawartość szafy wskazywała, że dziewczyna

mogła uznać odejście w milczeniu, za kolejny sposób

sprawienia matce bólu i skorzysta z okazji. Nastolatki potrafią

być cholernie wredne. Jeszcze jeden powód, by nie mieć

dzieci – najpierw myślisz, że oto rodzisz kogoś, kto zawsze

będzie cię kochał, a chwilę później, przy pierwszej kłótni,

dzieciak rzuca ci w twarz, że cię nienawidzi. Norma.

- Proszę, niech ją pani odnajdzie. Jeśli nie zechce wrócić,

zrozumiem, ale muszę wiedzieć, czy jest cała i zdrowa.

Muszę! Ja... wciąż nie mogę zapomnieć o tym, co miało

miejsce jesienią... Kamila była moją kuzynką – dodała.

Poczułam się źle, żołądek fiknął mi koziołka, a policzki

zaczęły piec. Kamila, jedna z kilku osób, które miałam na

sumieniu, których nie zdołałam uratować przed magiem.

Których energię wchłonęłam, bezpośrednio zyskując na ich

śmierci. Stając się na poły nieśmiertelną wiedźmą (w teorii, w

praktyce można mnie było zabić). Wiedziałam, że mam wobec

nich dług, którego nie zdołam spłacić. Ale mogłam dać

odrobinę spokoju rodzinie jednej z nich.

- Odnajdę ją. Czy to aktualne zdjęcie? – wskazałam fotografię zbuntowanej gotki.

- Tak. To jej chłopak. Bonawentura czy Bartłomiej? Nic dobrego, jeśli ktoś by mnie pytał. Nie poznałam go, ale widziałam, że ma na nią zły wpływ.

- Długo są ze sobą?

- Kilka tygodni.

Miałam ochotę zapytać, kiedy Claudia zaczęła znosić czaszki i kości do domu, wiedząc, że dla rodziny jakikolwiek ślad trupa pod ich dachem sprawia, że są chorzy, ale się powstrzymałam.

Nie musiałam pytać – ołtarzyk miał już co najmniej kilka lat, skoro miał tak wyrazistą aurę choć zbudowała go osoba bez umiejętności magicznych. Matki czasami nie chcą wiedzieć pewnych rzeczy. Albo wiedzą, ale nie dopuszczają do siebie konsekwencji tej wiedzy. Nie do mnie należało uświadamianie jej, jak dziwne są jej relacje z córką. Może gdyby moje były wzorcowe, znalazłabym w sobie bezczelność, by zacząć temat... a tak, kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem.

- Znajdę ją – powiedziałam tylko, chowając fotkę do kieszeni.

Do drugiej wsunęłam mały notes wypełniony adresami i numerami telefonów, który znalazłam na zabałaganionym blacie biurka. Będę potrzebowała rozmowy z kimś, kto znał

Claudię lepiej niż matka, dla której córka zawsze będzie chudziutką czternastolatką ze zdjęcia, które mi pokazała.

Gotka, zamieszkująca ten czarny pokój, była jej zbyt obca.

Ruszyłam do drzwi, kiedy coś zgrzytnęło mi pod podeszwą.

Pochyliłam się i podniosłam gumkę do włosów, ozdobioną czarną kokardką w białe groszki i plastikową czaszeczką, szczerzącą zęby w uśmiechu. Odruchowo owinęłam gumkę wokół palca i wstałam.

Pani Kalina stała w progu, wpatrzona w przestrzeń pokoju niewidzącymi oczyma. Ramiona dociskała do piersi, a palce obejmowały szyję w wyrazie niemego przerażenia. I miała to pod swoim dachem na co dzień, od kilku lat. Czas znaleźć tę dziewczynę, choćby po to, by przełożyć ją przez kolano i sprać tyłek. Objęłam kobietę, pchnęłam ją delikatnie i zamknęłam drzwi, odgradzając ją od ołtarza w szafie kolejną warstwą drewna. To wciąż za mało, ale wyraźnie poczuła się lepiej. I mimo tego bólu, jaki córka im sprawiała, oni chcieli ją z powrotem. Trudno uwierzyć, jeśli samej nie doświadczyło się przesadnie rozwiniętych więzi rodzinnych. Moi chyba nie zapłaciliby za godzinę pracy detektywa, by dowiedzieć się, gdzie jestem... To ułatwiało pewne rzeczy, nie musiałam ich okłamywać, nie musiałam się martwić, że nagle zechcą mnie odwiedzić i znajdą obcych ludzi w mieszkaniu, a na komisariacie usłyszą, że złożyłam wymówienie. Może nawet

martwiliby się o mnie. A może nie. Myślę, że ulżyło im, kiedy odeszłam. Stali się normalną rodziną, bez hasającej wśród nich czarnej owcy. Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, a nawet jeśli to mamy, nie potrafimy docenić, pomyślałam filozoficznie, oglądając się za siebie – matka Claudii stała wciąż na ganku, wpatrując się w moje plecy tak intensywnie, że czułam to spojrzenie namacalnie. Czy mogłam jej dać to, czego naprawdę potrzebowała? Nie sędzę. Nikt nie mógł odwrócić tego, co się stało. Ale mogłam jej dać odrobinę spokoju.

\*

Powoli zaczynało zmierzchać, kiedy dotarłam do centrum Thornu. Pieszko, bo wciąż nie mogłam się zdobyć na sprowadzenie do Thornu auta. Prowadzenie w realnym mieście było dla mnie koszmarem, tu chyba bym zwariowała. Nikt nie przestrzega przepisów drogowych, a skrzyżowania wyglądają jak w Delhi. Na szczęście aut jest znacznie mniej. Zerknęłam na zegarek, dochodziła osiemnasta. W sam raz, by wpaść do Hadesu i popytać o chłopaka Claudii, i może nawet spotkać ją, przycupniętą przy barze. Nie zdziwiłabym się, gdybym ją tam zobaczyła. Zasunęłam szczelniej kurtkę i otuliłam szyję szalikiem, chroniąc się przed wilgotnym chłodem październikowego wieczoru. Miałam nadzieję, że nie zacznie padać, ale wiele wskazywało na to, że spełźnie ona na

niczym i w najlepszym wypadku w nocy, kiedy będę już pod dachem, lunie. Przyspieszyłam kroku, by jak najszybciej dotrzeć do bramy. Ledwie przekroczyłam progi realnego miasta, kiedy uporczywy sygnał SMS-a przypomniał mi, że już jestem w zasięgu sieci komórkowych. Zerknęłam na zielonkawy ekranik wysłużonej Nokii. Siedem nieodebranych połączeń, wszystkie od jednej osoby. Uśmiechnęłam się, rozpoznając numer.

- Cześć, Witkacy, stęskniłeś się? – zapytałam, kiedy odebrał połączenie.

- Cholera, nie przyzwyczaję się do tego, że w kółko jesteś poza zasięgiem. Już miałem iść cię szukać, ale sama wiesz – mruknął. Coś w jego głosie sprawiło, że się usztywniłam.

- Jasne, jeszcze nie przywykłeś do wizyt w Thornie, z czasem to będzie naturalne jak oddychanie – rzuciłam lekko, czekając na to, co za chwilę powie.

Od niedawna wiedział, że jest magiczny i nie minął jeszcze tydzień, odkąd pierwszy raz odwiedził mnie w alternatywnym mieście. Wciąż nie czuł się komfortowo z zaklęciem, które dawało mu dostęp do portalu. Z jednej strony czuł podekscytowanie, że ten rozpoznaje w nim istotę magiczną, a z drugiej bał się, że coś popłacze i zamiast na brukowanej uliczce Thornu wyląduje Bogini wie gdzie. Może nie powinnam go ostrzegać przed taką ewentualnością... W

każdym razie wolał mieć towarzystwo, kiedy przekraczał  
bramę.

- Mam problem, Ti – powiedział cicho. – Spotkajmy się przy  
Pilonie, dobra? Za dziesięć minut?

- Jestem w okolicy, będę za pięć.

Odetchnął z wyraźną ulgą i rozłączył się bez pożegnania.

Wolałam unikać teraz Szerokiej, śpieszyło mi się, a godzina

była taka, że coraz liczniejsi studenci i mieszkańcy miasta

wylegali do restauracji czy knajp. Ulica tętniła własnym,

nieśpiesznym rytmem, mniej zorganizowanym niż w

przypadku turystów, bardziej leniwym i niefrasobliwym.

Wybrałam nieco dłuższą, ale spokojniejszą trasę: Podmurną,

Ciasną aż do Żeglarskiej, która kończyła się łukowatą bramą

w murach obronnych wokół Starówki, wychodzącą na Ślimak

Filadelfijski. Skręciłam w prawo, kierując się na filar mostu.

Pilon jest kultowym klubem punkowym, ulokowanym tuż pod

mostem w starym bunkrze. Jeśli nie wiesz, gdzie szukać,

miniesz go, zastanawiając się, czy czasem nie pomyliłeś

adresu. Nierzucający się w oczy masyw bunkra, jednego z

ponad dwustu schronów w naszym zawsze gotowym na

apokalipsę mieście, masywne żelazne drzwi, gładko wtopione

w ścianę. Żadnych szyldów, neonów, reklam piwa, tylko

skromny napis czarną farbą nad wejściem. Jeśli masz pecha i

akurat drzwi są zamknięte, doskonale tłumiąc hałas ze środka,

możesz je minąć, wciąż nie wiedząc, że to tak blisko. Zwykle na parkingu kręci się sporo ludzi, ale było za wcześnie na koncert i na parkingu stała tylko jedna osoba. Z daleka rozpoznałam suchotniczą i przygarbioną sylwetkę mojego przyjaciela z policji. Wyglądał jak jeden z bohaterów książek Chandlera, w rozpiętym prochowcu, którego poły powiewały na wietrze. Zaciągał się papierosem, a spojrzenie utkwił w jarzącej się końcówce, jakby liczył na małe objawienie.

- W teorii spodziewałem się, że to, co przede mną odkryłaś, zmieni moje życie, ale, cholera... – powiedział, nie patrząc w moją stronę.

- Co jest? – Przełknęłam kulę strachu.

- Nie spałem całą noc. Duchy. Jakbym nagle miał przyczepioną nad głową diodę „hej, tu jest facet, który was widzi, zwalcie na niego całe swoje nieszczęście”... Nie dawały mi spokoju, aż nie wygrzebałem się z wyrka i nie zgodziłem się pójść za nimi. Duchy są fatalne, jeśli idzie o orientację w terenie, nie wiem czy wiesz. Mają jakieś swoje zasady, terytoria, nie mogą iść tam, gdzie chcą, po prostu najkrótszą drogą, rozpraszają się łatwiej niż trzylatki, czasem zapominają, czego chcą, więc zajęło mi godziny, ale ją znalazłem...

- Trup?

- Nie inaczej, miła pani. Wyssany do sucha. Na podstawie



tego, co już wiem o nadprzyrodzonych, powiedziałbym, że

ktoś przesadził z kolacją i mamy martwą dziewczynę.

Przekląłam ciężko.

- Pokaż.

Bez zbędnych słów zaczął wspinać się po dość stromych białych schodach. Na wysokości około trzydziestu stopni był podest, a dalej jeszcze kilka schodów, wiodących na poziom Placu Rapackiego. Schody i murek, pomyślany jako wysoka balustrada, pełniły funkcję nocnego pisuaru – w Pilonie był jeden kibel i pod względem higieny niewiele odbiegał od schodów. Tu, przynajmniej w teorii, był dostęp do świeżego powietrza. W teorii. Zapach moczu był tak intensywny, że nie czułam nic innego. Witkacy musiał mi dokładnie pokazać, gdzie patrzeć. Wychyliłam się za sięgający mi powyżej pasa murek, zerkając w kącik utworzony przez schody, ścianę bunkra i mur. Rosnące z głupia frant drzewo dodatkowo utrudniało widoczność. Mogłaby leżeć tam tygodniami i nikt by jej nie znalazł. Zwykli Torunianie unikali tych schodów ze względu na smród. Ci, którym nie przeszkadzało, a nawet przyczyniali się do jego podtrzymania, byli zwykle dość pijani, by nie myśleć o wychylaniu się za mur i szukaniu guza. Przejście nad barierką wymagało zwinności i siły, a na tych pijanym zwykle zbywało. Witkacy, mamrocząc coś pod nosem,

ruszył

za

mną

nad

murem.

Leżała na ziemi, skulona, jakby spała. Spod plisowanej miniówki wystawały długie, chude nogi w paskowanych zakolanówkach. Brakowało jej jednego buta i podkulone palce w miękkiej skarpetce wyglądały tak cholernie niewinnie, że zaczęłam się obawiać, że trafiło mi się najgorsze, co może spotkać policjanta. Martwe dziecko. Kucnęłam przy niej i odgarnęłam czarne włosy z twarzy. Miała mocny makijaż, spod którego przebijała nienaturalna bladość. Ciemne oczy pokrywała biaława warstewka, szkląca się jak u lalki. Mogła mieć osiemnaście lat, choć niekoniecznie. Odruchowo dotknęłam powiek, by zamknąć jej oczy. Odchyliłam jej podbródek, by przyjrzeć się rozszarpanemu gardłu. Witkacy miał rację. To robota wampira, zbyt młodego, by się kontrolować, lub zbyt szalonego, by się tym przejmować. Uderzyły we mnie splątane, niezrozumiałe emocje, które zachowały się na ciele. Emocje mordercy i kogoś jeszcze. Nie ofiary. Przeszedł mnie dreszcz.

- Co mam robić? Dzwonić po ekipę? – zapytał Witkacy.

Oparłam dłonie o kolana i przez chwilę milczałam.

- Muszę powiadomić Romana. Policja tu nic nie wskóra, poza nami nikt nie wie, co spotkało dziewczynę.

- A jej rodzina?

- Roman będzie wiedział, jak to załatwić.

- Pewnie ma wprawę w ukrywaniu grzeszków.

Spojrzałam na Witkaca. Miał prawo bać się tej części świata, którą dopiero poznawał.

- Witkacy, możesz mi nie wierzyć, ale to pierwszy przypadek zabicia przez wampira, z jakim mam do czynienia przez ponad dekadę w tym mieście. Roman, jak większość mistrzów, nie toleruje takich wybryków, nie w epoce dobrowolnych dawców, banków krwi i zaawansowanych technik kryminalistycznych. Zaufaj mi, ten, kto to zrobił, będzie ukarany znacznie surowiej, niż byłby trafiwszy przed ludzki sąd.

- Nadnaturalne standardy?

- W naszych sądach wyrok śmierci oznacza śmierć, a kara może sięgać jeszcze w życie pozagrobowe, ku uciechu Gardiasza.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, jakby szukał zapewnienia, że ciągle jestem po tej dobrej stronie i zależy mi na sprawiedliwości dla tej dziewczyny. Że nie zamierzam zamaskować wszystkiego dla dobra „mojego ludu”. Roman z pewnością nie był moim ludem. Ale były pewne procedury,

których Witkacy dopiero się miał nauczyć. I właśnie miał przyspieszony kurs.

- Ufam ci, Ti, po prostu... Widziałem ją z innymi...

Przyprowadzili ją do mnie, bym znalazł ciało i pomścił ją.

Była na wpół szalona, bardziej niż inne duchy... Ten, kto to zrobił, zniszczył coś więcej niż ciało.

Wstałam i objęłam go ciasno. Pachniał tytoniem z

domieszkami, które były słodką tajemnicą Witkaca. Z

westchnieniem przyjął pociechę, jaką mu oferowałam. Jego

kilkudniowy zarost otarł mi się o policzek z delikatnością

papieru ściernego.

- I co dalej? Co robimy? – zapytał z taką bezradnością w

głosie, że ścisnął mi się żołądek. Zanotowałam sobie w

pamięci, że muszę wygospodarować trochę czasu tylko dla

niego, pomóc mu się oswajać, bo podejrzewałam, że był na

granicy obłądu. Może łatwiej znieść takie rewelacje, jakich

doświadczył, kiedy jest się dzieckiem, lub ma się osiemnaście

lat. On dobiegał czterdziestki. Miał popieprzone życie, ale

wiedział, mniej więcej, na czym stoi.

- Zostaniesz tu chwilę, ja sprowadzę Romana. Gdy się pojawi,

znikaj, wciąż jest szansa, że jeszcze o tobie nie wiedzą i niech

tak pozostanie, póki nie przejdiesz szkolenia w

Trójprzymierzu, dobra?

Wolałam uniknąć sytuacji, w których Roman uznałby, że ma

obowiązek pogrzebać w głowie mojego kumpla, by usunąć mu kilka wspomnień. Zapewne kilka więcej, niż byłoby to konieczne i mógłby mnie na przykład nie rozpoznać na ulicy. Aby go czymś zająć, poprosiłam go o sprawdzenie dla mnie kilku rzeczy.

\*

Biaława fasada domu w neoklasycznym stylu była rzęsiście oświetlona. Światło i cienie tańczyły na pięknie rzeźbionym froncie, ciemność miękko otulała wykusze okien. Prawie można było nie zauważyć, że te na dwóch dolnych piętrach są tylko atrapami. Pchnęłam ozdobione witrażem drzwi wejściowe i znalazłam się w holu. Przedsiónek wampirzego gniazda wyglądał jak rezydencja Carringtonów. Parkiet z egzotycznego drewna ułożony był w kunsztowne wzory, a na ścianach rzucały się w oczy obrazy mistrzów, które z pewnością nie były reprodukcjami. Pomieszczenie miało jakieś trzydzieści metrów kwadratowych i było niemal puste, nie licząc pojedynczego fotela, wyglądającej na niewygodną kanapki w stylu Ludwika któregoś tam i małego stoliczka, na którym stał aparat telefoniczny. Wrażenie luksusu wzmocniał lokaj w eleganckim trzyczęstym garniturze. Na mój widok wstał z fotela i odłożył na blat książkę, starannie zaznaczając czytane miejsce zakładką. Jego uprzejme zainteresowanie ledwie maskowało zniecierpliwienie. Może oderwałam go od

lektury w chwili, kiedy miał się wreszcie dowiedzieć, kto zabił. Cóż, ja miałam takie rzeczy na żywo. Dość uprzejmie poprosiłam o widzenie z Romanem. Lokaj z całkowicie obojętną miną oświadczył, że pan nie życzy sobie, by mu przeszkadzano i mogę spróbować szczęścia za tydzień, w godzinach konsultacji społecznych, kiedy jest dostępny dla pospólstwa. Żałowałam, że nie mam odznaki, by ją podetknąć zadufanemu w sobie dupkowi pod nos i wejść, nie czekając na reakcję. Życie w cywilu było czasem tak ograniczające.

- Powiedz mu, że to sprawa życia i śmierci, głównie śmierci. I zapewniam cię, nie będzie zachwycony, że nie dowiedział się jako pierwszy o trupie, który go zainteresuje. Dodaj też, że

Dora Wilk zastanawia się, czy szukać rozwiązań dyplomatycznych, czy takich, których skuteczność sprawdziła w przeszłości – powiedziałam dobitnie, z radością obserwując zmieszanie na twarzy starszego mężczyzny.

- Pani jest Dorą Wilk? – upewnił się.

- Na pewno nie wielkanocnym króliczkiem – odparłam, tracąc cierpliwość.

Uniósł słuchawkę i zreferował komuś treść naszej rozmowy.

Nie wiedziałam, czy samemu Romanowi, czy kolejnemu oczku w sieci, którą musiałam pokonać, nim do niego dotrę.

- Proszę za mną – powiedział lokaj i poprowadził mnie do rzeźbionej, ażurowej klatki windy, przywodzącej na myśl

paryskie kamienice z lat trzydziestych XX wieku. Pociągnął za mocno dekoracyjną kratę z kutego żelaza i wpuścił mnie do środka. Sam pozostał na zewnątrz.

- Proszę nie podchodzić do krawędzi podczas jazdy – powiedział chłodno lokaj, zatrzasnął mnie w klatce windy.

Pociągnął za małą wajchę na ścianie i mechanizm ruszył z cichym zgrzytem. W kabinie nie było panelu kontrolnego.

Azurowa klatka pięła się mozolnie na kolejne piętra. Na ułamek chwili zwolniła na pierwszym, między prętami mignęły mi zaintrygowane twarze. Po kilku sekundach znów z leniwą prędkością jechała w górę, popiskujący z wysiłku kołowrót nad moją głową nie budził zaufania. Na trzecim piętrze zatrzymała się ze zgrzytem hamulców.

Kolejny lokal z wyuczoną uprzejmością rozsunął kratę i wyciągnął rękę w moją stronę. Minęłam go bez słowa i rozejrzałam się za Romanem. Zaskoczony lokaj opuścił rękę. Rany, czy kobiety potrzebują jeszcze męskiej asysty przy poruszaniu się, odkąd przestały nosić ważące tonę krynoliny i krępujące ruchy gorsety? Nie skomentował mojej impertynencji. Poprowadził mnie do ledwie widocznych drzwi, idealnie imitujących kamień. Przyłożył dłoń płasko na chłodnej powierzchni i rozsunęły się, rozpoznając jego odciski palców. Naprawdę świetna robota i ładne zaklęcie, miałam ochotę przyjrzeć mu się z bliska, ale nie było okazji. Lokaj

dyskretnie stanął na tyle blisko, bym odczuła to jako dyskomfort, a jedynym sposobem, by się go pozbyć było zrobienie kroku w głąb apartamentu. On nie zamierzał ze mną wchodzić. Kiedy tylko przekroczyłam próg, drzwi zamknęły się za mną z cichym sapnięciem.

Spodziewałam się za nimi wszystkiego, pałacowego przepychu czy dekadentckiego bałaganu, ale nie tego, co zobaczyłam. Chłodny minimalizm, skórzane siedziska kanap, szklany stół, abstrakcyjny fresk w mocnych, żywych kolorach – tak, były zaskakujące, ale ogromne okno zajmujące całą ścianę, całkowicie odsłonięte i pozbawione zasłon czy wertykali, robiło naprawdę wielkie wrażenie. Czy był bardziej widowiskowy sposób, by wampir zademonstrował swoją potęgę współplemieńcom, niż dowodząc, że nie lęka się światła słonecznego? Podeszłam do okna i spoglądałam na poplamione czerwienią i oranżem niebo.

- Dora Wilk, czemu zawdzięczam ten wątpliwy zaszczyt, bym wiedział, czego na przyszłość unikać? – usłyszałam za sobą.

Poruszał się tak cicho, że nie zauważyłam, kiedy wszedł do pokoju.

- To proste, jeśli uda ci się powstrzymać wampiry od zabijania śmiertelniczek, ryzyko, że cię odwiedzę, gwałtownie spada.

- O czym, u diabła, mówisz? – wściekłość rozpałała mu oczy, które wydały się teraz bardziej bursztynowe niż brązowe.



Pokrótkie opowiedziałam o swoim znalezisku. Pominęłam udział Witkacego.

- Jak długo nie żyje? – zapytał cicho.

- Dość, by ustąpił rigor mortis – odpowiedziałam. – Od około siedemdziesięciu dwóch godzin... Śmierć była dość gwałtowna, by powstał duch, a ten błąkał się przez trzy doby po Toruniu, szukając zemsty. Cud, że nie mamy na koncie kolejnych trupów.

- Chcę zobaczyć zwłoki – powiedział zdecydowanie. Nie czekając na moją opinię w tej sprawie, sięgnął na wieszak po wełniany, czarny płaszcz do połowy uda, z mosiężnymi guzikami na przedzie.

- Słońce dopiero zachodzi...

- Te ograniczenia mnie nie dotyczą – rzucił ze złośliwym uśmiechem.

- Hej, chyba nie zamierzasz świecić jak kryształki Svarovskiego? – zapytałam zaskoczona.

Przystanął i obrócił się, bardzo wolno, w moją stronę.

- Jeszcze jeden żart lub porównanie do Zmierzchu, a nie będzie co z ciebie zbierać. I byłoby szkoda, bo mam swoje plany wobec ciebie – głos ociekał mu fałszywą słodyczą.

- Przepraszam, pop kultura czasem mózg wyżera.

- Miałem lepsze zdanie, na temat twoich lektur...

- Ja to oglądałam, nie czytałam – przyznałam w ramach

nędznego usprawiedliwienia.

- To równie źle, a teraz, jeśli pozwolisz, wolałbym zająć się trupem, a nie gadać o Zmierzchu.

- Kto by nie wolał – wymamrotałam pod nosem.

Prychnięcie Romana dowiodło, że nie dość cicho, by nie usłyszał.

\*

Pochylał się nad ciałem w absolutnym milczeniu. Mogłabym złośliwie zauważyć, że nie wyglądał na takiego, co pierwszy raz ma kontakt z trupem, ale po co mówić o oczywistych oczywistościach? Przesunął palcami po poszarpanej ranie na szyi dziewczyny, odwinął mankiety sweterka – wyraźne wybroczyny na posiniałej skórze sugerowały walkę, lub to, że ktoś ją przytrzymał. Uniósł spódniczkę dziewczyny, odetchnęliśmy z ulgą w tym samym momencie, nie dostrzegając śladów obrażeń czy siniaków na udach. Jakby to cokolwiek w tej chwili zmieniało. Była martwa. Ale jakąś ulgę mi sprawiło, że wcześniej nie została zgwałcona.

- Więc? – zapytałam.

- Rozwiń, nie wiem do czego odnieść to „więc”.

- Zajmiesz się nim?

- Nią, chciałaś powiedzieć? – Wskazał palcem na ciało.

- Nią też, ale mówię o nim, tym wampirze, który to zrobił. W końcu to twój problem, skoro nad nimi nie panujesz –

powiedziałam dobitnie.

Wstał gwałtownie i nagle był tuż przy mnie, z twarzą tylko kilka centymetrów od mojej.

- Nigdy nawet nie sugeruj – obnażył kły – że nie panuję nad moimi poddanymi.

Wymownie spojrzałam na ciało i uniosłam brew. Przez delikatność nie wspomniałam o Victorze, wampirze, którego miesiąc temu musiałam zabić. Gołymi rękami. Był współnikiem maga, odpowiadał za śmierć kilku magicznych.

A niech mnie, jeśli to nie był dowód na to, że Roman nad nim nie panował. Mistrz spoglądał na mnie ponuro i ze świstem wypuścił powietrze.

- Nie był mój. Żaden z nich. Ani Victor, ani ten tutaj.

- Ale to nadal twój problem. – Wzruszyłam ramionami.

- Jakbym nie wiedział. I jakbym nie wiedział, że nie spoczniesz, póki go nie złapiesz. Poza tym to Toruń, wampirza ziemia niczyja. Nie mam tu jurysdykcji.

- Wiem, że możesz to olać i udać, że o niczym nie wiesz, powiedzieć, że to mój problem. Ale wolałabym, byś mi w tym towarzyszył – mruknęłam zawstydzona, że muszę to powiedzieć.

- Co?

- Nie chcę go sama złapać, musiałabym go zabić. Nie chcę, by poszło w obieg, że jestem samozwańczą egzekutorką

wampirów. Nie marzę o takim piarze dla naszej agencji,

Roman. Możesz sobie tylko wyobrazić, jacy klienci

przychodziliby ze zleceniami. Poza tym... Wiesz, że moja

technika zabijania wampirów jest dość paskudna i wolałabym

uniknąć powtórek... – Uśmiechnęłam się szeroko, by go choć

trochę rozchmurzyć.

- Nie musiałabyś przecież nurzać się po łokcie w jego klatce

piersiowej i wrywać serca gołymi rękoma... Wystarczyłby

kołek, dekapitacja, strzał w serce, ogień, słońce... Masz

szereg opcji. – Złośliwie uniósł brew.

- Czy nie powinieneś się cieszyć, że zwracam się o pomoc?

Czy ja czasem w ten sposób nie uznaję twojej pozycji w

wampirzym światku? Poza tym nie chcesz, by zginęło więcej

ludzi. Popytałam o ciebie. Owszem, jesteś krwiożerczy, ale to

raczej dobry apetyt, a nie marnotrawstwo.

Przez chwilę mierzył mnie spojrzeniem. W końcu skinął

głową.

- Dobrze, ale zrobimy to po mojemu. To nie jest jedyny

problem, jaki mam w tej chwili.

- Jakbym tego nie rozumiała – mruknęłam. – Muszę szybo

odnaleźć pewną dziewczynę... Przyjęłam sprawę na chwilę

przed znalezieniem ciała.

- Coś poważnego? – udał zainteresowanie.

- Nie wiem, raczej nie. Może panna właśnie zabawia się ze

swoim chłopakiem. Ale wolałabym mieć tą sprawę zamkniętą, by zająć się naszym nowym problemem. Jej matka bardzo to przeżywa.

Wyciągnęłam komórkę i odczytałam SMS od Witkaca.

Miałam numer do Hadesu. Wybrałam go szybko, korzystając z tego, że jestem w realnym mieście i wyjątkowo mam zasięg.

Już po trzech sygnałach odebrała dziewczyna, młoda, sądząc po głosie. Przedstawiłam się, odruchowo dodając, że pracuję

w policji. Stare nawyki. Zapytałam ją o barmana o imieniu

Bonawentura albo Bartłomiej. Potwierdziła, że mają

pracownika o imieniu Bonawentura, ale wszyscy nazywają go

Benym. Nie, Benego nie było w pracy, nie widziała go od

trzech dni. Tak, zna Claudię. Wyjątkowo rozpieszczona

panienka. Nie, też nie pojawiła się od kilku dni w Hadesie, ale

za nią akurat nie tęskni. Dlaczego? Cóż, w kółko powtarzała o

tym, jaka to będzie wspaniała i jak wszystko się zmieni.

Odnosiła się pogardliwie do innych pracowników baru,

trzymała się tylko z Benym. Oczywiście, da znać, kiedy któreś

z nich się pojawi (podałam jej numer Witkacego). Skończyłam

rozmowę podirytowana. Nie poszło tak, jak miałam nadzieję.

Chowałam telefon do kieszeni, kiedy zobaczyłam minę

Romana. Jakby zjadł coś bardzo nieświeżego.

- Czy wiesz, jak wygląda ten Bonawentura? – zapytał.

Bez słowa wyciągnęłam z kieszeni kurtki fotografię. Przez

dwadzieścia sekund przyglądał się urodziwej twarzy chłopaka,  
po czym spojrzał mi w oczy.

- Oczywiście wiesz, że on jest wampirem?

Oniemiałam. Nie zdarza mi się to często, a jednak.

- To nie wszystko. Byłem pewien, że nie żyje. A to oznacza,  
że ukrywał się przede mną i moimi ludźmi przez kilka  
miesięcy. Jaki miał w tym cel? – Zasepił się.

- Rozpoznasz jego zapach na ciele? – zapytałam.

- Nie. Ale to nic nie znaczy. Ma prawo nie pachnieć jak  
wtedy, kiedy go spotkałem.

- Nie był sam... – powiedziałam cicho.

- Wyczuwasz takie rzeczy? – Zmrużył oczy i przez chwilę  
czułam się jak eksponat na wystawie dziwadeł.

- Często. Był z nim ktoś. Raczej nie wampir...

- Może twoja zguba?

-

Może? – powiedziałam z lekkim zwątpieniem,  
przypominając sobie jak splątane były emocje osoby  
towarzyszącej wampirowi przy ciele.

- O ile jeszcze żyje. Mógł ją zabić. Jeśli to ona była z nim przy  
tym ciele, możesz zakładać co najwyżej, że żyła 72 godziny  
temu.

- Podejrzewasz, że wpadł w szal i zabija jak leci?

- To możliwe...

- Nie wierzysz w to.

- Nie do końca. – Zmarszczył brew.

Przypomniałam sobie siniaki na nadgarstkach dziewczyny i

rozszarpaną ranę na szyi. Wampir może zabić schludniej.

Może oczarować ofiarę i sprawić, że nie będzie się bronić. Z

uśmiechem będzie pozwalała się pić do ostatniej kropli.

- Jak Bonawentura stał z umiejętnościami wampirzymi? –

zapytałam.

- Nie wiem. Przeciętnie, podejrzewam.

- Nie jest twój?

- Nie. Więc nie mogę go znaleźć po więzi. Ale bardzo mi się to nie podoba. To kolejny ze zbyt wielu zbiegów okoliczności.

– Przygryzł wargę, jakby obawiał się, że powiedział zbyt wiele.

Przyglądałam mu się uważnie.

- To nie jedyne ciało, prawda, Roman? Masz więcej trupów i jakiegoś oszalałego wampira na wolności?

- Skąd...? – Wściekły, znów zagryzł usta.

Napięcie szczęki mówiło mi więcej o jego stanie

emocjonalnym, niż pozornie swobodna postawa i luźno splecione na piersi ramiona.

- Powiedz mi jedno, uważasz, że Bonawentura ma z tym coś wspólnego? Czy coś łączy naszą dziewczynę i twoje tajemnicze trupy?

- Nie wiem. Ale nie podoba mi się ta zbieżność – znajduję ciała, które nie pachną wampirem z mojego gniazda, a w tym samym czasie wychodzi na jaw, że wampir z obcego gniazda ukrywał się miesiącami, choć odprawiliśmy po nim mszę pogrzebową.

- Ile tych ciał?

- To – wskazał dziewczynę u naszych stóp – jest czwarte. A właściwie pierwsze, bo trzy są świeższe, z wczoraj.

- Ludzie?

- Nie, nasi.

- Masz zdjęcia?

- Po co ci one? – Jakby sobie przypomniał, że przecież wcale nie zamierzał ze mną rozmawiać na ten temat.

- Chcę poznać szczegóły sprawy, którą prowadzimy. Razem, Romanie.

- A uważasz, że pozwolę ci się mieszać, bo? – Wypróbował na mnie swoje spojrzenie wampirzego mistrza, domagającego się pełni posłuszeństwa i ukłonów. Nie podziałało.

- Bo możesz się na mnie boczyć i wyzłośliwiać, ale masz problem, a ja mogę być pomocna. Jestem... byłam policjantką. Inaczej patrzę na miejsce zbrodni, inaczej docieram do faktów czy do dowodów, inaczej przepytuję podejrzanych. Jestem ci potrzebna, by załatwić to szybko i sprawnie, zanim wampiry zaczną zadawać sobie pytanie, ile w



tym twojej winy, ile nieudolności, ile słabych rządów. Giną ludzie.

Nie tryskał zapałem i chęcią współpracy, ale skinął na znak, że przyjmuje moje argumenty.

Podszedł do zaparkowanego przy krawężniku auta. Oto znakomita organizacja. Mógł ze mną pieszo wędrować uliczkami, ale potrafił zadbać, byśmy nie targali ciała do jego siedziby. Dwóch rośliwych facetów, wyglądających na ochroniarzy i kelnerów w jednym, odepchnęło się od karoserii i w skupieniu słuchało rzucanych cicho rozkazów. Chwilę później spakowali ciało dziewczyny do worka i nieśli do samochodu. Planowali zapewne wpakowanie jej do bagażnika, ale Roman, widząc moją minę, rzucił krótkie polecenie i ciało wyładowało na tylnym siedzeniu.

- Zrobisz wszystko, by namówić mnie na spacer? – mruknął, a kącik jego oka drgnął ledwie zauważalnie.

- Oczywiście. Czyż nie o tym marzy każda dziewczyna? Nie dość, że księżę, to jeszcze krwiopijca. Prawdziwa okazja, dwa w cenie jednego. Litra krwi.

Prychnął tylko.

- Skoro już tu jesteśmy, zajrzyjmy do Hadesu – powiedziałam.

– Sprawdźmy jaki adres chłopiec zostawił w papierach.

Nie skomentował, ale pozwolił się zaprowadzić na Podmurną, do studenckiego klubu – kolejnego z nazwą wymazaną na

ścianie czarną farbą. Tym razem litery były, niezbyt przekonująco, stylizowane na gotyk. Roman uniósł brew w ramach komentarza. Pociągnął drzwi i wszedł pierwszy. Hmm... nie miał odruchów dworskich, raczej obronne, zarejestrowałam, schodząc za nim po stromych schodach do piwnicznej izby. Kilka stolików z miękkimi ławami po lewej świeciło pustkami. Było jeszcze dość wcześnie, a może ludzi odstraszał solidny łomot, dobiegający z ustawionych w kątach głośników. Podkręcone na maksa basy przepływały przez powietrze i podłogę dudnieniem, które wnikało w kości i pulsowało w trzewiach. Przy stoliku, na niewielkim podwyższeniu, niemal idealnie naprzeciw wejścia, siedziała dwójka młodych metali. Byli tak bardzo tru, że tylko kiwali posępnie głowami w rytm melodii, nie mając potrzeby prowadzenia konwersacji. Pociągnęłam Romana za rękaw i kiwnęłam głową na bar. Jasno oświetloną wyspę w ciemnym wystroju Hadesu. Światło pełgało po kolorowych butelkach z alkoholem, wyeksponowanych za plecami barmanki i w szklanych pokalach i kieliszkach, ustawionych w gotowości jak kompania wojska w oczekiwaniu na tabun spragnionych. Kelnerka na żywo wyglądała na więcej lat, niż sugerował jej głos przez telefon. Mogła mieć trzydzieści trzy lata, a nie dziesięć mniej, jak oceniłam na podstawie wcześniejszej rozmowy. Była też mniej chętna do współpracy.

Bardzo uprzejmie powiedziałam jej, że chciałabym zobaczyć dokumenty Bonawentury, umowę czy zaświadczenie o ubezpieczeniu. A ona bardzo uprzejmie powiedziała mi, że nie ma sprawy, gdy tylko ozdobi swoją ścianę naszym nakazem przeszukania i zajęcia dokumentacji baru. Przygryzłam wewnątrz policzka. Nawet gdybym wciągnęła w sprawę Witkaca, nie było szans na szybkie załatwienie nakazu, bo niby co miał wpisać w formularz dla prokuratury? Szukamy wampira mordercy, który najpewniej był zatrudniony w Hadesie na umowę o pracę? Jak źle to brzmi? Roman wydawał się być niewzruszonym. Oparł się o blat baru łokciami i spojrzał dziewczynie w oczy.

- Poproszę szklaneczkę ginu na kostkach lodu, a także pełną dokumentację Bonawentury, z przyjemnością powiesz nam wszystko, co wiesz i nic cię nie ucieszy tak bardzo, jak myśl, że mogłaś nam pomóc – powiedział melodyjnym głosem, uśmiechając się jak wcielone zło. Chciałabym głęboko potępić jego metody, ale niech mnie, były takie skuteczne! W ciągu kilkunastu sekund dostał drinka i dowody... Czy są jakieś kursy, na których mogłabym się tego nauczyć?

- To było złe – powiedziałam dla porządku. – Zrób tak mi, a zawsze już będziesz spał przy zapalonym świetle.

- Czysty pragmatyzm, a ciebie nie mogę zahipnotyzować, próbowałam – mruknął, jakby nigdy nic, przewracając strony

w segregatorze, aż trafił na dokumenty Bonawentury.

- Jak to próbowałeś? – sapnęłam wściekła.

Uniósł spojrzenie, niewinne jak u dziewczynki od sypania kwiatów w Boże Ciało i powiedział:

- Moglibyśmy się skupić na rzeczach istotnych? – Przesunął w moją stronę segregator, bym mogła przebiec oczami rubryki w formularzu. Przeklełam, widząc, co wpisał jako adres zameldowania. – Nic tu po nas – powiedział, zatrząskując twarde okładki. Patrzyłam mu na ręce, tylko dlatego zauważyłam, że plik dokumentów zubożał o kilka kartek wypełnionych przez Bonawenturę. Tej sztuczki też bym się chętnie nauczyła. Już widzę minę Romana, gdybym go poprosiła o nauki: idź się utop, padawanie, i nie zawracaj głowy mistrzom.

- Czas na przystanek przy ostatnim miejscu zbrodni.

Jego mina sugerowała jasno, że wolałby borowanie kanałowe kłów, ale przytaknął na zgodę.

\*

Trudno powiedzieć, czy pomieszczenie było bardziej magazynem, w którym ktoś na dziko mieszkał, czy mieszkaniem przerobionym na spełniony sen hordera.

Kartonowe pudła, pełne różnej maści śmiecia, piętrzyły się pod sam sufit. Podłogę pokrywały czasopisma, pudełka po pizzy, opakowania po słodyczach, a butelki po piwie walały

się wszędzie, otaczając aureolą kanapę, która stanowiła jądro tego bałaganu. Zajęło mi chwilę zorientowanie się, że kanapa oryginalnie była szara lub kremowa. Teraz była brązowawo-czerwona. Część krwi zaschła, tam, gdzie podłóże było z ceratki, wilgoć wyparowała, zostawiając gęstniejącą breję. Słodkawy zapach mulił żołądek. W powietrzu uwijały się muchy.

- Tu była cała trójka? – zapytałam.

- Tak – powiedział Roman. Czułam, że mi się przygląda, jakby ciekaw, jak się zachowam w tej scenerii. Podeszłam bliżej kanapy i oceniłam ślady krwi, rozbryzgi na kartonach dookoła i kawałku ściany, jaki zza nich wystawał. Pochyliłam się, oglądając śladu butów, odbite na gazecie sprzed trzech miesięcy. Odruchowo sięgnęłam po rękawiczki lateksowe, nim podniosłam narzutę opadającą z siedziska na podłogę, aż sztywną i ciężką od zaschniętej posoki. Powąchałam ją z bliska, by upewnić się, że dobrze zidentyfikowałam zapach. W głowie odtwarzał mi się przebieg zbrodni. Zaskoczyło mnie kilka spraw, ale nie mogłam się mylić, rozbryzgi mieszały się i nakładały, wyznaczając skrupulatną linię czasową.

Spojrzałam na sufit, gdzie ślady kropel znaczyły trop niczym ślady zwierząt na śniegu. Większe krople grawitacyjne na blacie stolika, między pudełkami po daniach do mikrofalówki i na nich. Kwadrat podejrzenie czystej powierzchni. Monety

rozsypane na podłodze. Małe, bardziej rozciągnięte krople grawitacyjne z drugiej strony. Wyraźny rozbryzg tętniczy na ścianie po prawej.

- Czy kobieta przeżyła? – zapytałam.

- Nie. Nikt nie przeżył.

Pokręciłam głową, to naprawdę nie miało sensu.

- Więc opowiedz mi, co się tutaj wydarzyło – powiedział

Roman z przekąsem. Jeśli miałam mu udowodnić, że jestem przydatna, to właśnie teraz.

-

Dwoje napastników. Prawdopodobnie obserwowali mieszkańców co najmniej kilka godzin. Kobieta i mężczyzna, lub młody chłopak i mężczyzna. Brak broni palnej. Nóż i coś ostrego, może szpikulec. On zabił mężczyznę, na oko 185 wzrostu. To była pierwsza ofiara, sądzę, że był największy i najlepiej zbudowany. Poderżnięte gardło, dość niezdarnie, musiał poprawiać. Chwilę później zabił jego – wskazałam na drugą stronę stołu. – Ciosy w brzuch i klatkę piersiową. Co najmniej pięć. Ostrze noża musiało mieć jakieś dwadzieścia centymetrów, przecięło którąś z tętnic w jamie brzusznej. W tym samym czasie ona lub nastolatek przygwoździł dziewczynę z kanapy. Sądzę, że zadano jej nie więcej niż dwa ciosy, ale bardzo celne. Wykrwawiła się błyskawicznie. Może tętnica, ale leżała na brzuchu, więc wykrwawiała się w

kanapę.

- Popatrzysz na plamy z krwi i wiesz co tu się wydarzyło?

Tego uczą w policji? – zapytał spokojnie, choć błysk zainteresowania w jego oczach był wyraźny.

- Gdyby chodziło tylko o krew wystarczyłoby parę odcinków „Dextera”. – Wzruszyłam ramionami. – Mamy inne spojrzenie na miejsce zbrodni. Ty je za sobą zostawiasz lub masz je zatuszować. Ja szukam wskazówek, co się tu wydarzyło.

- Skąd wiesz, jak wyglądali napastnicy... i ofiary, dla porządku, nawet nie powiedziałem ci, jakiej były płci.

- Ofiary to dwóch mężczyzn i kobieta, to oczywiste.

Napastnicy byli dobrze zorganizowali. Najpierw szybko pozbyli się największej ofiary, faceta, który mógłby stawiać opór. Wzięty z zaskoczenia nie miał szans. W teorii mogły być jeszcze dwie kobiety, ale bardziej prawdopodobne jest, że był to mężczyzna, bo kobiety nie mają odruchu stawiania na drodze napastnikowi, kiedy ten zmierza na inną kobietę.

Powiedziałabym, że to facet, związany z kobietą z kanapy więzami krwi lub uczuciem.

- Bo?

- Bo zmuszono go, by patrzył, jak ginie jego kobieta, siostra czy dziewczyna nie ma znaczenia. Zginął jako ostatni. To znaczy niewykluczone, że ona wykrwawiała się dłużej, zwłaszcza jeśli leżała na brzuchu, ale jego śmiertelny cios

nastąpił po jej śmiertelnym ciosie. Kobietę zabił mniejszy napastnik. Lekki, góra pięćdziesiąt – sześćdziesiąt kilo. Ofiara była drobna, ale prawie udało jej się zrzucić z siebie napastnika. Stawiałabym raczej na zabójczynię niż nastolatka.

- A skąd wiesz, że byli obserwowani?

- Zabójcy wykorzystali zamówioną pizzę, by dostać się do środka. Ich wygląd musi być niepozorny. Możliwe, że mniejszy, zgodnie z założeniami, kobieta, wszedł pierwszy z pizzą, za nim pojawił się następny. Rzadko kiedy zamykamy drzwi, nim dostawca wyjdzie. A kiedy w progu okazuje się, że rachunek wyszedł większy niż zakładaliśmy, zwykle szukamy pieniędzy i zapraszamy dostawcę do środka. W takiej sytuacji czujemy się nieco niepewnie, jesteśmy zmieszani, bo nie przewidzieliśmy, że zabraknie nam gotówki, więc jesteśmy szczególnie mili. To wysoki mężczyzna otwierał drzwi, on też wprowadził napastniczkę, nawet nie zauważył, że za nią wszedł drugi mężczyzna. Jeśli to był wampir, to zrozumiałe. Mógł wejść bardzo szybko, pojawić się błyskawicznie za plecami pierwszej ofiary i podciąć jej gardło.

- Jeśli?

- Martwi mnie ilość krwi. Jeśli mamy do czynienia z oszalałym wampirem, czy nie powinien się pożywiać? Nie powinien oczarować ofiar, by poszło mu łatwiej? Pojedynczy wampir w szale bez trudu zabiłby trzy osoby, nie



potrzebowałby pomocnika. Niepokoi mnie też użyta broń.

Mimo wyraźnego zorganizowania napastników, samo miejsce zbrodni wygląda chaotycznie, jakby stracili kontrolę nad sytuacją, albo stracili przewagę siły, co byłoby wyjątkowo dziwne. Sądzę, że Bonawentura jest dość młodym wampirem i może nie mieć doświadczenia... ale mimo wszystko widzę tu cholernie wiele niekonsekwencji i luk. Martwią mnie nie mniej, niż trzy... cztery właściwie trupy.

Skinął głową, nie komentując mojego spostrzeżenia.

- Właśnie z tego powodu potrzebuję dokładnych zdjęć miejsca zbrodni – dodałam.

- Ciekawa lekcja, Doro Wilk. – Ton jego głosu wskazywał, że przeciwnie, nie znajduje tu już nic ciekawego i niezwłocznie pragnie się oddalić. Skinął mi głową i odwrócił się na pięcie.

W tym samym momencie stanęłam niefortunnie na ukrytą pod luźną płaszczyzną gazetowych stronic butelkę po piwie. Nie miałam cię czego chwycić i straciłam równowagę. Dość, by opaść na kolana. Pięknie, tyle byłoby z mojego super profesjonalizmu. W ułamku sekundy Roman wisiał nade mną z lekceważącym uśmiechem drgającym mu w kąciku ust.

- Planujesz dochodzenie, tymczasem chodzenie zdaje się stanowić pewien problem – rzucił od niechcienia. –

Potrzebujesz pomocy?

Miałam ochotę złapać tą cholerną butelkę, roztrzaskać o

podłogę i tulipankiem zetrzeć mu z twarzy ten uśmiezek. Po co ja się w ogóle staram? To jego problem, nie mój. Odeszłam z policji, a w Thornie nie ma jednostki policyjnej, do której mogłabym aplikować. Po sprawie, pogódź się z tym Wilk – pomyślałam do siebie. To, że musiałam zrezygnować z pracy, którą naprawdę lubiłam, nie było problemem Starszyny ani Romana. Ich interesowało tylko to, że powstrzymałam maga, który był ich problemem, bo zabijał magicznych.

Ostrożnie postawiłam stopę, upewniając się, że nie skręciłam jej na butelce. Tego mi brakuje, bym upadła wstając. Prosto pod nogi Romana. Nie potrzebował mnie. Znajdzie tego wampira i mu nogi z dupy powyrywa na chwilę przed tym, jak wyrwie mu serce. A to, że ja... chciałam być potrzebna, nie ma znaczenia.

Jestem prywatnym detektywem.

Nie policjantką. Mam zlecenia, wypełniam je i tyle. Nie mam obowiązku służyć i bronić nikogo poza mną i moimi przyjaciółmi, którzy teraz pewnie śledzą faceta, którego żona podejrzewa o romans i sprzedawanie tajemnicy zaklęcia. Chyba, że już zrobili zdjęcia i wrócili do domu, zastanawiając

się, czemu jeszcze mnie nie ma – przecież miałam tylko iść na mały rekonesans do dzielnicy czarownic ziemi. Powinnam iść do nich. Skupić się na Claudii.

W momencie, kiedy właśnie wybiłam sobie z głowy zaangażowanie w bałagan Romana, znalazłam drobiazg, który dowodził, że to także mój bałagan. Mała czaszeczka na kokardce w groszki. W kieszeni wymacałam taką samą, jak ta, która leżała na podłodze, tylko częściowo schowana pod gazetą, poznaczoną wąskim szlaczkiem z kropli skapujących z narzędzia zbrodni.

\*

Jeśli szukałam dowodu na to, że Claudia i Bonawentura mają na sumieniu kilka ofiar, znalazłam je w domu rodzinnym dziewczyny. Jak najdelikatniej wyjaśniłam, czego się dowiedziałam o chłopaku Claudii i przygotowałam rodzinę na to, że to coś więcej niż ucieczka z domu. Bez szczegółów, bo nie miałam twardych dowodów. Choć intuicja mówiła mi, że to się nie skończy dobrze. Przed odejściem zostawiłam na ołtarzu w szafie wielki jak męska pięść kryształ o jasno różowej barwie. Prosty sposób na to, by matka nie dostawała mdłości, wchodząc do tego pokoju. Obiecałam wrócić za kilka dni i odebrać skażony kryształ, który wchłonie całą tę czarną energię i oczyści pomieszczenie.

W Toruniu zadzwoniłam do Witkaca z prośbą, by mi

sprawdził czy Bonawentura nie wyświetli się w którejś z baz danych. Nawet jeśli miał lewe dokumenty, o co mogłam się założyć, może podał jakieś inne dane kontaktowe niż na papierach z Hadesu, referencje, adres do korespondencji, cokolwiek, co mogło nas naprowadzić na trop jego miejsca pobytu. Adres, który podał w papierach rekrutacyjnych w barze, był ślepym zaułkiem. To standardowy adres, który podawali magiczni mieszkający w Thornie, jeśli musieli podać adres i numer telefonu w realnym mieście. Mieszkanie należało do Starszyny i mieszkający tam na stałe urzędnik, potwierdzał adres zamieszkania danej osoby, jeśli ktoś pytał, gromadził korespondencję i dostarczał ją do Thornu, przekazywał wiadomości, także te telefoniczne. Był łącznikiem między Thornem a Toruniem, co było bardzo wygodne, ale nie dawało nam nic, jeśli idzie o prawdziwe miejsce pobytu Bonawentury. I Claudii, bo byłam pewna, że są

razem.

Zadzwoiłam też do kilku jej koleżanek z V L.O., ale nie wiedziały lub nie chciały powiedzieć nic o tym, gdzie się podziała. Dowiedziałam się tylko, że wagaruje na potęgę i od ponad tygodnia nie pojawiła się na lekcjach. I nie była szczególnie lubiana ani przyjacielska. Jakoś mnie to nie zaskoczyło.

Pierwsza ofiara, gotka znaleziona przez Witkaca, nie była przypadkowa – na korkowej tablicy nad biurkiem Claudii znalazłam jej zdjęcie, przysłonięte innymi. Dzięki matce Claudii dowiedziałam się, jak się nazywała i gdzie mieszkała. Szczęście w nieszczęściu, jej rodzice wiedzieli o Thornie, ojciec był wróżem, ale po ślubie z w pełni ludzką kobietą i po narodzinach zdecydowanie niemagicznej córeczki przeniósł się do Torunia. Nie musiałam ich okłamywać, ani fabrykować dowodów dotyczących okoliczności śmierci ich córki. Roman był bardzo uprzejmy i stonowany. Wziął na siebie koszty pogrzebu i odszkodowanie, choć nie wiem, jaka kwota może wyrównać rodzicom stratę dziecka. Amelia miała dopiero szesnaście lat. Rozmowa z rodzicami była ciężka i ulga, kiedy wyszliśmy wreszcie na ulicę, sprawiła, że zakręciło mi się w głowie.

- Myślałem, że takiej twardej policjantki jak ty takie rzeczy nie ruszają – powiedział Roman z lekką kpina w głosie.

- W dniu, w którym takie rzeczy by mnie nie ruszały, uznałabym, że nie nadaję się już dłużej do tej roboty – odpowiedziałam ze złością.

- Czy nie dlatego odeszłaś z policji? – drążył.

- Roman... Doskonale wiesz, czemu odeszłam. I nie jest to temat, z którego chciałabym sobie żartować. Więc proszę, zamknij się. – Odwróciłam się, by nie widział mojej twarzy.

Wredny manipulant. O dziwo posłuchał.

Gdzieś między spotkaniem z Witkacym przy Pilonie, a odwiedzinami u rodziny Amelii, zapadła noc. Ciemności rozpraszały stylizowane na dziewiętnasty wiek lampy. Z lekkim zdziwieniem odnotowałam, że czuję się w towarzystwie Romana całkiem nieźle. Nie miałam odruchu zerkania przez ramię, czy nie czai się na moją tętnicę szyjną. Był na to zbyt... nie tyle ułożony, co praktyczny. Szliśmy w milczeniu do bramy, a później, również bez słowa, skręciliśmy w Uliczkę Rzemieślników, będącą skrótem do siedziby Romana. Niskie, przysadziste kamieniczki z żeliwnymi sztyldami nad wejściem skrywały warsztaty najlepszych płatnerzy, kowali, snycerzy, kaletników czy bednarzy. Jeśli poszukujesz szklanych fiolek na eliksiry, składników do zaklęć, introligatora czy jubilera, też nie możesz trafić lepiej niż właśnie Uliczka Rzemieślników. Długa na jakieś trzysta metrów, była siedzibą cechów – do których należały wyższe i bardziej okazałe kamienice – i najlepszych warsztatów rzemieślniczych, przekazywanych zwykle z pokolenia na pokolenie. Zwykle uwielbiałam tędy chodzić, zaglądać do sklepików, choćby po to, by pooglądać cuda wychodzące spod palców krasnoludów, specjalizujących się głównie w obróbce metalu i broni, oraz innych stworzeń, głównie z żywiołu ziemi i ognia.

Tym razem czułam się dość dziwnie. Ostrożnie obserwowano nas zza uchylonych drzwi i okiennic. Nikt nie wychodził się przywitać, nikt nie machał entuzjastycznie, byśmy weszli i obejrzeliby towar. Spojrzałam ostrożnie na Romana.

- To ty wprowadzasz tu taki popłoch? Mnie witają tu zwykle inaczej – powiedziałam ostrożnie.

- Cóż – wyszczerzył kły w przerysowanym uśmiechu złego gościa – nie wiedzą, czemu właśnie ze mną idziesz... Może skończysz jako mój posiłek? Może się zapomnę i skończy się to zimnym ciałem słodkiej wiedźmy? A może coś przeszkrobałaś i prowadzę cię do karceru? Kto wie... nie widywano nas dotąd razem. I na wszelki wypadek lepiej nie widzieć, nie rozmawiać z nami, bo jeszcze nie daj Pani Magii Wszelakiej, przyszłoby im zeznawać? To praktyczny lud, jeśli wpakowałaś się w kłopoty, to twój problem, nie ich. Jeśli jutro zawitasz tu cała i zdrowa, znów będą mili i chętnie ci pokażą swoje produkty... Co najwyżej będą plotkować, co tu dziś ze mną robiłaś.

- Jednym słowem właśnie psujesz mi reputację? – parsknęłam.

- Jakbym miał wiele do zepsucia. Prowadzasz się z tym swoim diabłem i aniołem, dla większości mieszkańców tego grodu, gdybyś zaczęła się teraz prowadzić ze mną, znaczyłoby, że odzyskałaś poczucie przyzwoitości. – Przypieczętował swój wywód szerokim uśmiechem bardzo z siebie zadowolonego

krwiopijcy. Nie zamierzałam dawać mu satysfakcji  
komentarzem. W milczeniu przeszliśmy do końca Uliczkę  
Rzemieślników i wyszliśmy na ulicę, przy której stała  
rezydencja Romana. Rzęsiste oświetlone budynki i tętniący  
życiem (prawdziwym lub animowanym wampirzą magią)  
lokal z ogródkiem, wystawionym na chodniku przed  
wejściem, jasno wskazywały, że w tym miejscu zabawa  
zaczyna się z zapadnięciem zmroku. W ludzkim świecie  
istnieją ogródki piwne – ten tutaj raczej nie gromadził  
miłośników browarów, a krwiodajki i krwiopijców. Przez  
przejrzyste ścianki altany widziałam grupki roześmianych  
młodych ludzi w nieco przerysowanych kreacjach,  
uprawiających najstarszą zabawę świata – flirtowali na potęgę,  
racząc się alkoholem. Nasze pojawienie się nie zostało  
niezauważone. Kilka osób z zaciekawieniem wpatrywało się  
w sylwetkę lokalnego księcia wampirów, który dla dzieciaków  
zafascynowanych wampiryzmem musiał mieć status gwiazdy.  
Mnie raczej nie rozpoznali, co było pozytywnym objawem.  
Biorąc pod uwagę, co mówiono o mnie od zabicia Victora,  
mógł się pojawić jakiś obrońca wampirów z zaostrzonym na  
mnie  
kołkiem.  
Roman  
rejestrował



wydarzenia

Z

nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Wpraszasz się na podwieczorek? – zapytał z uśmiechem, kiedy dotarliśmy przed drzwiami. – Tylko uprzedź mnie z góry: czy jako dawca, czy biorca... żebyśmy uniknęli nieporozumień.

Teatralnie wyszczerzył kły. Miałam ochotę pacnąć go w twarz, ale mógłby mi wówczas oderwać głowę, a na chwilę obecną była mi potrzebna.

- Chcę poznać całą historię Bonawentury, zwłaszcza ten kawałek, w którym ty sądzisz, że on nie żyje, a on się ukrywa. Chcę wiedzieć, przed kim naprawdę się ukrywał.

- Skąd wiesz, że nie przede mną?

- Bo byś wykopał jego tyłek choćby spod ziemi, gdyby ci zależało. Był mniej niż dwa kilometry od twojej siedziby.

Wnioskuje, że ten, kto go miał szukać, był partaczem, może z jakiś powodów nie mógł szukać lub, wbrew temu, co wydawało się chłopakowi, nie chciał.

- Czasami naprawdę mnie zaskakujesz – powiedział, spoglądając na mnie jak na motylka na szpilce.

- Ale mam rację, prawda?

- Niepokojące to, ale masz. Ale to nie twoja sprawa.

Nachyliłam się lekko i położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Moja, Roman. Odkąd znalazłam ciało, rozmawiałam z rodzicami i nawąchałam się zapachu krwi innych ofiar, to zdecydowanie moja sprawa. A jeśli będziesz miłym i rozsądnym wampirkiem, będzie to wkrótce zamknięta sprawa. Sam powiedz, jak dobrze to brzmi?

- Mam ochotę skrócić ci kark i ukrócić twoją bezczelność – odparł chłodno, ale nie zmylił mnie. Cień cienia ciepłej iskierki przemknął przez jego oczy. Zrezygnowany pokręcił głową. – Niestety, Katarzyna ma do ciebie słabość, co do pewnego stopnia wiązuje mi ręce. Wejdźmy, muszę dbać o reputację. Lepiej by nas nie widziano wystających na progu, jakbyśmy nie potrafili się rozstać po udanej randce.

Na ten kawałek o dyskrecji było już za późno. Połowa lokalnych krwiopijców i ich fanów nas przywodziła, ale Roman z klasą udawał, że ich nie dostrzega.

- Trup, więcej trupów i spotkanie z rodziną w żałobie, wiesz jak się rozerwać, wasza kąśliwość – ociekałam słodyczą i wyszczerzyłam się promiennie. Miałam przeczucie, że nie mogę mu ustąpić ani na krok. Pokocha to lub mnie zabije, ale na pewno nie dam się ustawić w szeregu jego grzecznych krwiodajek.

Nie wjechaliśmy windą. Roman wybrał doskonale zamaskowane drzwi, za którymi kryła się wąska klatka schodowa. Może nie miał ochoty być zamkniętym ze mną w

małym pomieszczeniu, może nie lubił wind, a może chciał mieć radochę z obserwowania jak zipię i sapię, usiłując dotrzymać mu kroku podczas wchodzenia na trzecie piętro w wampirzym tempie. Stawiałabym na to ostatnie, bo na samej górze miał wyjątkowo szeroki uśmiech. Schody prowadziły bezpośrednio do jego apartamentów i nie było wyjść na niższe poziomy. By wejść otworzył panel sterujący, wpisał kod (zasłonił się, więc nie wiedziałam jaki), zeskanował dłoń i nakłuł palec na próbniku. O słodka paranojo. Z drugiej strony, jak żyjesz pięćset lat, jeśli nie więcej, to zwykle więcej niż raz unikasz zamachu na swoje życie. Albo nie unikasz i koniec pieśni.

- Wytrzymaj buty – rzucił przez ramię. – Czyszczenie białych dywanów to prawdziwe przekleństwo.

- Nie uwierzę w życiu, że sam to robisz – mruknęłam, ale wytarłam buty o szorstką matę z kokosa.

- Jeśli myślisz, że pozwoliłbym komukolwiek swobodnie kręcić się po moim mieszkaniu i mieć do niego dostęp, niewiele o mnie wiesz – powiedział.

Cóż, kolejny urok długowieczności. Znasz coraz więcej osób i coraz mniej spośród nich zasługuje na zaufanie. Usiadłam na kanapie, kładąc torbę na stoliku kawowym. Czerń nocnego nieba wlewała się do pokoju przez tafłę okna. Roman na chwilę zniknął za drzwiami z mlecznego szkła. Byłam pewna,

że wróci z aktami, a tymczasem wrócił przebrany w granatowy blezer, w ciemnych płóciennych spodniach i boso.

Wydawał się być całkiem rozluźniony, a im bardziej on był rozluźniony, tym bardziej ja byłam spięta. Najwidoczniej docierało do mnie, że jestem sama z pieprzonym wampirzym księciem w jego prywatnych pokojach, weszliśmy tu nie zauważeni przez nikogo, kto zechciałby podzielić się tą informacją gdybym zniknęła, a moi przyjaciele nawet nie wiedzą, że miałam się z Romanem spotkać.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze jak znalazłaś tę dziewczynę – powiedział, rozsiadając się wygodnie na drugim końcu kanapy.

Przygryzłam wargę.

- Miałam nadzieję, że nie zapytasz. Musimy do tego wracać?

- Tak. Więc? – Przeczesał palcami ciemne włosy i splótł dłonie na karku wyciągając całe ciało na kanapie.

- Po dziewczynie został duch. Znalazła... kogoś, z kim mogła się skomunikować, a ten ktoś znalazł mnie. Koniec tematu.

- Twój przyjaciel Piotr Duszyński zwany Witkacym, prawda?

- Roman, nie czas na pogawędki o Witkacym. Daj mu czas, przejdzie szkolenie i go poznasz. Powiedz mi lepiej, co to za sprawa z Bonawenturą, czyj on w ogóle jest, skoro nie twój?

Cały pozór odprężenia minął w ułamku chwili. Nie zmienił pozycji, ale jego ciało emanowało napięciem.

- Musisz znać tylko skróconą wersję. Jego stworzycielka przybyła kilka lat temu ze wschodu z małą rodziną. Jako księżę tego terytorium przyjąłem ją na lennika, ale nie wyraziłem zgody na mieszkanie w Thornie. Osiedliła się więc w Toruniu. Pół roku temu zaczęły do mnie napływać sygnały, że w jej gnieździe źle się dzieje. Trzy miesiące temu podpaliła budynek, w którym spała jej rodzina. Wszyscy zginęli. Ona przebywa pod kluczem i czeka na konwój, który zaprowadzi ją przed Konklawe. – Mówił spokojnie, metodycznie, ale nie bez zdziwienia zauważyłam, że widzę to, co próbuje ukryć. To nie była sprawa jak każda inna. Było w niej coś, co go głęboko poruszało.

- Dlaczego nie wyraziłeś zgody, by osiedliła się w Thornie?

Nie tylko ze względu na terytorium, prawda? – zapytałam, nachylając się lekko w jego stronę.

- Jesteś nieznośnie wścibska, Wilk, mówił ci to ktoś? – Znów obnażył kły, jakby to robiło na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

- Parę osób każdego roku. Przywykniesz. Wiesz, że nie pytam przez ciekawość, ale wszystko może być ważne. Pamiętaj, postrzegam pewne rzeczy inaczej niż ty, mogę zobaczyć w drobiazgach coś, czego ty nie rozpoznasz jako kluczowe.

- Co nie zmienia faktu, że mnie irytujesz.

- Taki mój urok. Więc?

- Anastasja Afanasjewna jest szalona. Nie, nie od pół roku.

Jest szalona odkąd ją znam, a znam ją od dwóch wieków. W

Rosji mogła sobie na wiele pozwolić, naprawdę na wiele, bo

za wschodnią granicą nie podpisano wszystkich umów

trójstronnych, jakie obowiązują chociażby w Thornie.

Skinęłam głową – umowy gwarantowały rozejm między

wampirami, wilkami i magicznymi. To plus Rozejm

Międzysystemowy gwarantowało względny pokój między

różnymi rasami i zakończyło wojnę z niebieskimi (i ich

zbrojnym ramieniem, czyli inkwizycją).

- Jej ojciec był patriarchą Moskwy. Najsilniejszym wampirem

w tej części Europy.

- Krył ją.

- Tak. Możesz jednak sobie wyobrazić, co musiało się stać, że

odmówił jej dalszej opieki i zmusił do opuszczenia Rosji.

- A przyjechała tu, bo?

- Bo miałem u jej ojca pewien dług i musiałem go kiedyś

splacić. Oczekiwał, że to właśnie ten moment.

- Dlatego do pożaru ignorowałeś sygnały?

Przytaknął bez słowa.

- Ile trupów schowałeś do szafy, nim podpaliła dom i podpadła

pod przepisy Konklawe? – zacisnęłam pięści na kolanach.

- Zbyt wiele, więdźmo, zbyt wiele – spojrzenie miał

zmęczone, jakby przez chwilę pozwolił mi dostrzec jak stary

jest i jak ciężka jest odpowiedzialność, którą na siebie wziął.

Ułamek sekundy później maska znów była na swoim miejscu,

a twardy błysk w jego oku sugerował, bym nigdy nie

wspomniała o tym, czego się właśnie dowiedziałam.

- Czy cokolwiek zostało z budynku, jaki zamieszkiwała

Anastasja z rodziną?

- Niewiele. Zewnętrzne ściany i część magazynowa. To był

bardziej barak, niż dom. Miałem nadzieję, że jej się znudzą

niedogodności i sama podejmie decyzję o przenosinach gdzie

indziej.

Cóż. Nie wyszło.

- Chyba nie myślisz, że on tam wrócił?

- Nie wiem, Roman, ale może warto to sprawdzić? Gdzieś

mieszka, jakoś nie widzę go na stacji na Rubinkowie.

Mówisz, że zna miasto od pół roku. Z jakiś powodów przeżył

pożar, a teraz sobie całkiem dobrze radzi, ma pracę, żyje

między ludźmi, ale znalezienie lokum przyjaznego wampirom

w ciągu dnia jest niełatwe. Zakładam, że nie jest daywalkerem

jak ty?

Roman uśmiechnął się drapieźnie.

- Nie jest. Długo wytrzymałaś, nim do tego nawiązałaś. Jak na

wścibską osobę, potrafisz, być bardzo... cierpliwa?

- Niekoniecznie. Mam swoją teorię, dość dobrą, by nie

spędzało mi to snu z powiek. Wzruszyłam ramionami. No

dobra, byłam bardzo ciekawa. Ale on miałby zbyt wiele

satysfakcji ze splawienia mnie, gdybym zapytała. Znałam jeden sposób na stworzenie wampira opornego na promienie słoneczne (poza wykreowaniem go na łamach kiepskiej książki). Kandydat na wampira nie mógł być zwykłym człowiekiem, ale magicznym. Taka przemiana jest trudna, bo magia animująca wampira może się kłócić z magią indywidualną potencjalnego krwio pijcy, ale bywały też plusy – jeśli obie magie się splatały, potrafiły dać znakomity efekt. Nowo zmieniony wampir miał umiejętności, budzące zazdrość kilkusetletnich kumpli. Zwykle nowopowstałe wampiry z magicznym DNA nie władały przypisaną im z urodzenia magią, ale mieli w zanadrzu kilka sztuczek. Na przykład odporność na słońce lub jasnowidzenie...

- Ciekawe, jak by to było w twoim przypadku – powiedział.

Wzdrygnęłam się, podejrzewając, że czyta mi w głowie. –

Nie, nie robię tego – dodał z uśmiechem, czym nie zaskarbił

sobie mojego zaufania. – Przestań, nie muszę ci zaglądać w

głowę, masz bardzo ekspresywną twarz. No więc,

zastanawiałaś się, jakby to było z tobą? Jakim byłabyś

wampirem? Marzy mi się taka niezwykła linia rodowa

magicznych wampirów. Pomyśl, jak bylibyśmy silni,

niepokonani, wyjątkowi... Zainteresowana? – Kusił.

- Jak zarażeniem wirusowym zapaleniem wątroby. Choć ono

akurat mniej wpływa na tryb życia czy dietę – powiedziałam



szczerze. Akurat o takiej wieczności nigdy nie marzyłam.

- To może chociaż dasz spróbować swojej krwawicy? Ciekaw jestem tej mieszanki smaków...

- Zapomnij... Ale wracając do rzeczy ważnych, czy wybór ofiar może mieć jakiś związek z walorami smakowymi dla wampira?

Uniósł brew zaskoczony.

- Wiem, że na przykład krew wiedźmy wam smakuje, jest musująca, jak to określił znajomy. Czy ofiary miały jakąś wyjątkową krew? Coś szczególnie pożądanego i apetycznego?

Przez chwilę spoglądał na mnie z niedowierzaniem. No dobrze, nie są to pytania, jakie standardowo zadaję, ale chyba nie wkraczam na jakąś strefę tabu? A nawet jeśli, pieprzyć tabu, które miałyby powstrzymać mnie przed złapaniem mordercy. Przez chwilę mierzyliśmy się morderczymi spojrzeniami, co było całkowicie bez sensu, bo chwilowo żadne z nas nie chciało naprawdę zabić. W końcu westchnął i z miną męczennika powiedział:

- Nic nadzwyczajnego. Ale na miłość twojej bogini, nigdy nie wdawaj się z wampirem w rozmowy na temat smaku krwi.

Dobrze radzę.

- Dlaczego? Chyba nie macie tych durnych odruchów wampirów z pop kultury, które nienawidzą tego, kim są, smęca, że muszą pić krew, i ogólnie smęca?

Poruszył się tak szybko, że moje oko nie nadążyło. Nagle nachylał się nade mną z dłońmi na oparciu kanapy, po obu stronach mojej głowy i ciałem blokującym moje. Zamarłam. Podmuchał na moją szyję aż pojawiła się gęsia skórka. Oprzytomniałam i spróbowałam go kopnąć. W delikatne miejsce. Odsunął się błyskawicznie, unikając mojego kolana, ale nie zwalniając nawet na chwilę pozycji dominacji.

- Roman, złaż – sapnęłam, coraz bardziej spanikowana. Nie spodziewałam się ataku. Przecież wedle prawa, jeśli nie jestem chętnym dawcą, to picie mojej krwi jest jak gwałt. I mogłabym to zgłosić, gdybym przeżyła. Problem, że zgłosić musiałabym to... Romanowi, co daje pewną lukę, idealną do nadużyć. To, że nie słyszałam, by z niej korzystał, nie znaczy, że tego nie robi, a co najwyżej dowodzi, że ma dobrą kontrolę nad przepływem informacji.

- Nie pytaj wampira o preferencje smakowe, czy upodobania żywieniowe, bo odbierze to jak flirt, zachętę, pokusę – szeptał mi do ucha. – To jakbyś pytała nowo poznanego faceta w jakiej pozycji lubi uprawiać seks, albo o opinii o kobiecych sokach w trakcie seksu oralnego. To bardzo, bardzo niegrzeczne pytania mała wiedźmo. I zastanawiam się tylko, czy zaczynasz ten temat, bo nie wiesz, czy wręcz przeciwnie, doskonale wiesz i grasz mi na nerwach.

- Nie wiedziałam, przysięgam, już nic nie mówię. Na ten

temat – dodałam uczciwie.

Raz jeszcze dmuchnął na moją szyję, zbyt sugestywnie jak dla mnie, po czym odsunął się i, jakby nic się nie wydarzyło, siadł sobie

na

kanapie,

całkiem

spokojny.

- Wymyśliłeś to, prawda? – zapytałam niepewna.

- Nie. Uwierz mi, to nie są tematy, które poruszamy poza

sypialnią. Dla nas jedzenie i seks łączą się na tak wielu

poziomach, że nie warto zaczynać pogawędki o jednym, jeśli

nie jest się gotowym na drugie, a najlepiej na oba w tym

samym czasie.

- Możesz zanotować sobie w głowie, że jakiegokolwiek będę

plotła androny, nie mam ochoty być twoją przekąską ani

zabawką pościelową? Nigdy, przenigdy? – zapytałam cicho.

- Nie wezmę niczego bez twojej zgody. I zapytam dwa razy,

by się upewnić, że wiesz, co proponujesz. Przyniosę nam

herbaty. To idealna pora na herbatę – rzucił dziwnym tonem i

przeszedł do innego pomieszczenia, najpewniej kuchni. Nie

wiem, po co wampirowi kuchnia, skoro wystarczyłaby

lodówka z krwią... Choć Roman raczej nie zadowala się

woreczkowaną krwawicą, skoro na parterze jego siedziby jest

najbardziej znany klub dawców. Na magię wszelaką, czy ja  
znów  
rozważam  
żywieniowe  
preferencje  
wampira?

Niegrzeczna dziewczynka.

- Powiedz mi Roman, czy poznałeś Bonawenturę? Jaki on  
jest? – krzyknęłam, by słyszał mnie mimo odległości. Z jego  
słuchem mogłam szeptać, ale wolałam podtrzymać pozory  
człowieczeństwa. Wyłonił się zza szklanej tafli i oparł o  
framugę.

- Cichy, bardzo skryty. Pewnie pokaleczony, bo nie może być  
inaczej po latach z Anastasją Afanasjewną. Jest młody, nie  
wiem dokładnie, kiedy go zmieniono, ale daję mu jakieś  
czterdzieści lat. Przemieniony bardzo brutalnie i bez zgody.

Jedna z zatuszowanych win Anastasji. Miał jakieś osiemnaście  
lat w trakcie przemiany i podejrzewam, że na tym wieku się  
zatrzymał, fizycznie oraz mentalnie. Nie miałem z nim wiele  
kontaktu, lecz jego stworzycielka traktowała go jak  
zwierzątko, miłe dla oka i posłuszne.

- Myślisz, że od niej uciekł?

- Nie wiem jak byłoby to możliwe, ona jest potężna mimo  
obłądu, a dopiero od dwóch miesięcy jest uwięziona... Może

miał jej zgodę na opuszczenie gniazda?

- Mógł przełamać więź?

- Zbyt młody, zbyt słaby. Ktoś mógłby go przejąć, ale

wiedziałbym o tym. Zagadka, która nie daje mi spokoju. Nie

spodziewałbym się tego po nim. Ale widać szaleństwo

Anastasji Afanasjewnej było zaraźliwe.

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co wiem o

Bonawenturze i Claudii. I jak wiele rzeczy mi się nie zgadzało

w tym układzie.

- Roman... czy on mógłby to wszystko zrobić wbrew swojej

woli? – dałam upust swoim wątpliwościom.

- Moja mała wiedźmo, nie daj się zwieść pozorom. Nawet

młody, niepozorny wedle naszych standardów wampir jest

nieporównywalnie silniejszy niż człowiek. Nie ma

możliwości, by jakaś istota zmusiła nas do zabijania, robienia

rzeczy wbrew naszej woli. No może bardzo potężny mag lub

czarnoksiężnik, ale nie mała dziewczynka. Jeśli ktoś ma tu

sprany mózg, to ona. To on jest w tym duecie drapieżnikiem i

siłą. – Wydawał się być bardzo pewny siebie. I na pewno

wiedział o wampirach nieskończenie więcej niż ja. Może

byłam naiwna i znów dałam się wpędzić mojemu umysłowi w

pułapkę współczucia.

- Sprawdźmy ich dom, czy to, co z niego zostało –

zapropnowałam.

- Moi ludzie już to robią. – Uśmiechnął się, widząc moje zaskoczenie. – W kuchni, prócz czajnika, jest też interkom i telefon.

- Wolę to, niż telepatyczne mambo jumbo.

Zaśmiał się cicho.

- To wymaga więzi, która działa w dwie strony. Jak myślisz, skoro nie wpuszczam sprzątaczkę do mieszkania, jak chętnie wpuściłbym kogoś do własnej głowy?

Słodka paranoja, ale nie wiem, czy nie postępowałabym podobnie na jego miejscu. Wstałam i sięgnęłam po torbę.

- Gdzie się wybierasz? – zapytał unosząc brew w komicznym wyrazie władczygo zdumienia.

- Nie zamierzam tu siedzieć i gawędzić, podczas gdy gdzieś za progiem grasuje morderca.

- Wiesz, mężczyzna z tobą może się poczuć... wykorzystany.

Dowiedziałas się co chciałaś i znikasz. A może ja też chciałbym się czegoś o tobie dowiedzieć?

Prawie nabrałam się na to poczucie krzywdy wymalowane na całej jego twarzy. Może gdybym miała piętnaście lat, a nie trzydzieści, zadziałałoby.

- Jasne. Jeśli to pytania o Witkacego albo ingerujące w moją prywatność, daruj sobie.

Może byłam nieco przeczulona, ale moi sąsiedzi w magicznym mieście wykazywali niezdrową fascynację nowym

dziwem w okolicy, czyli wiedźmą, która mieszka z diabłem i aniołem pod jednym dachem. Niektórzy posuwali się do tego, by udawać, że potrzebują detektywa, tylko po to, by się dowiedzieć, „jak blisko ze sobą jesteśmy”. Innych fascynowała łąka dziewczyny, która własnoręcznie zabiła wampira (naprawdę musiałam pilnować, by to nie rzutowało na mój biznes, bo zdumiewająco liczna była grupa potencjalnych klientów, którzy mają na swojej liście kainitę, który nadawałby się do zniknięcia), albo chcieli przyjrzeć się świeżo przemienionej wiedźmie – tajemnicą było, jak przejść od ludzkiego ciała do ciała animowanego magią. Nawet nie wiedziałam, że znam tyle młodych wiedźm, głównie płodności, więc przywiązujących uwagę do urody większą niż ja, które chciały się dowiedzieć, czy to przejęte moce, czy coś innego doprowadziło do tego, że starzenie mi nie grozi. Oczywiście, gdyby wiedziały, że musiałam właściwie umrzeć, w boleściach, dodajmy, by osiągnąć ten stopień umagicznienia, uznałyby, że to niewielka cena za wieczną młodość. I fala samobójstw wśród wiedźm gwarantowana. Byłam zobowiązana przez Katarzynę do zachowania milczenia i tego się trzymałam. Ale miesiąc, jaki minął od moich przenosin do Thornu, naprawdę nie był najłatwiejszy towarzysko.

- Jesteś nieuprzejma, wiedźmo. A co, jeśli uważam, że jest w

tobie całkiem sporo rzeczy, które mogą być interesujące, dla kogoś takiego, jak ja? – Coś w jego sylwetce się zmieniło, jakieś napięcie ramion sprawiło, że wyglądał jak drapieżnik, którym przecież był. I niech mnie nie zmylą bose stópki i miękki sweterek. Wyczuwałam jakiś podtekst w jego wypowiedzi. Droczył się. A moja magia ze strony matki upewniła mnie, że nie chodzi o seks ani żądzę. Zacisnęłam rękę na pasku torby i odruchowo cofnęłam się o krok.

- Pogadamy innym razem. Może przy świadkach – dodałam, wycofując się do wyjścia.

Nacisnęłam klawiskę i wypadłam na mały hol z windą, która na szczęście wisiała na tym piętrze. Szarpnęłam za kratę i wskoczyłam do kabiny, uświadamiając sobie poniewczasie, że panel sterujący jest na zewnątrz i nie zdołam uruchomić windy sama – by panel działał, krata musiała być zamknięta, a bym mogła sięgnąć panelu, musiała być otwarta. Konflikt tragiczny, mili państwo. Gdzie ochroniarz, kiedy go potrzebujesz? Słyszałam zbliżające się kroki Romana i jego śmieшек. Jasne, wybrałam nie te drzwi co trzeba, ale bałam się, że bez kodu i linii papilarnych Romana nie wydostanę się z klatki schodowej... a teraz... cholera. Roman pchnął drzwi i stanął dwa kroki przed windą.

- Spieszysz się gdzieś, wiedźmo? – zapytał przeciągając samogłoski.



- Tak jakby, może naciśniesz guziczek z P? – zapytałam

słodko, zatraskując kratę między nami.

- Poproś ładnie.

- Ładnie proszę, wciśnij ten cholerny guzik.

Śmiał się, kiedy mechanizm ruszył. Przymknęłam oczy i odetchnęłam. Nie byłam pewna, czemu tak spanikowałam.

Nie zrobił nic naprawdę groźnego. Po prostu emanował czymś... niebezpiecznym. Odkrywcze, biorąc pod uwagę to, że jest wiekowym wampirem. Winda zwolniła, mijając 1 piętro [pierwsze], a ja poczułam, że krew odpływa mi z twarzy, a dłonie zaczynają drżeć. Modliłam się, by mnie nie zauważyli, nie zatrzymali windy. Zjechałam na parter i szarpnęłam kratę. Niemal przewróciłam się o ciało lokaja. Z rozbitej głowy wypłynęła aureola krwi. Podbiegłam do stolika i podniosłam słuchawkę interkomu.

- Roman! Słyszysz mnie? – zapytałam drżącym głosem, wciskając ostrożnie guziki. Ostatnie czego chciałam, to trafić na odbiornik z pierwszego piętra.

- Już się stęskniłaś? – Kpina w jego głosie była wyraźna.

- Zejdź natychmiast na dół, nie korzystaj z windy, weź broń – wyrzucałam z siebie komendy.

Nie odpowiedział nic. W słuchawce rozległ się brzęczyk przerwanego połączenia. Kucnęłam obok lokaja. Sprawdziłam puls. Czy raczej stwierdziłam jego brak. Tak zastał mnie

Roman. Z ręką na szyi jego pracownika. Chyba sfrunął po schodach, bo nie minęła minuta odkąd go wezwałam, a zdążył założyć buty i przypiąć kaburę z bronią. Pojawił się przy mnie, za szybko, by oko nadążyło za jego ruchem.

- Masakra na piętrze – powiedziałam cicho. Uniósł brew i wiedziałam, o co pyta bez słów, więc tylko skinęłam głową.

Tak. Bonawentura. I tak, było źle. – Pojedziemy windą?

Pokręcił głową.

- Bylibyśmy zbyt odsłonięci zanim nie otworzymy kraty.

Możesz zresztą tu poczekać...

- Jakby to się miało zdarzyć – prychnęłam.

Kącik ust drgnął mu lekko, ale się nie uśmiechnął. Przeszedł

do kolejnego zamaskowanego panelu, wychodzącego na

kolejną tajną klatkę schodową. To miejsce było naprawdę

dziwne. Żywiłam mocne podejrzenie, że jeśli Roman sam go

nie zaprojektował, architekt z pewnością nie żył długo, po

ukończeniu prac. Przemknęliśmy cicho na pierwsze piętro.

Nigdy tu nie byłam, ale fama tego miejsca dotarła i do mnie.

Wyglądało tak, jak się spodziewałam. Intensywne kolory,

poduchy i zasłony kojarzące się z haremem. Pólnagie kobiety

też mogłyby się tak kojarzyć, gdyby były żywe i w jednym

kawałku. Przełknęłam ślinę, gardło nagle wydało się szorstkie

i opuchnięte. Miałam trudności ze zrozumieniem, na co patrzę.

Czerwień krwi stapała się z czerwienią satynowych poduch.

Roman przyłożył mi palec do ust i dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, że oddycham za szybko i za głośno.

Bezszelestnie zamknął za nami panel wyrastający z gładkiej, marmurowej ściany małego holu, tuż obok szybu windy. Przy ażurowej kracie leżały dwie dziewczyny. Leżąca się tkanina sukienki jednej z nich niczym fiołkowy wachlarz otaczała skulone ciało. Nie było widać żadnych obrażeń, ale jej sylwetka emanowała bezruchem niemożliwym za życia.

Dziewczyna obok miała ranę przez całe plecy, dość głęboką, by przecięło skórę pod kamizelką z miękkiego nubuku.

Jeszcze po śmierci usiłowała sięgnąć do panelu sterującego.

Widziałam je, zjeżdżając windą. Je i mężczyznę z długim nożem, przechodzącego w głębi pomieszczenia. Roman skinął głową, bez słów odczytał moje spojrzenie, wysunął się przede mnie, ale nie wyciągnął z kabury pistoletu. Na Boginię, jak bardzo mi brakowało mojego policyjnego glocka! Muszę zdobyć jakiś nowy model... Wyciągnęłam nóż, choć bardziej liczyłam na moc, której poziom był wystarczający do walki.

Nim dotarliśmy do uchylonych na drugim końcu długiego pokoju drzwi, minęliśmy trzy kolejne ciała. Nadal same kobiety. Nie byłam pewna, czy to normalne, czy w tym miejscu, czyli w luksusowym burdelu, w którym zamiast seksu sprzedawano krew (a może nie tyle zamiast, co oprócz, sądząc po mojej rozmowie z Romanem) były tylko kobiety?

Nie sądziłam, by tak było. Nawet jeśli akurat nie było klientów, to przecież wampirzyce, choć rzadsze od samców, też gdzieś musiały się pożywiać, jeśli nie życzyły sobie korzystać z banku krwi. Plus wampiry wolące mężczyzn – jeśli pożywanie się i seks są tak bliskie, orientacja seksualna pewnie ma wpływ na wybór, z czyjej szyjki zdecydujesz się pić. Znow zaczynam dumać o preferencjach żywieniowych wampirów, cholera. Zmysłowe, haremowe wnętrza musiały przesadnie pobudzić moją wyobraźnię, już i tak podkreconą na maksa adrenaliną. Powietrze przesyciła piżmowa woń perfum zmieszanych ze słodkawą wonią krwi. Roman dał mi znak i przywarliśmy po obu stronach futryny. Przez chwilę panowała cisza, nim usłyszałam wysoki, dziewczęcy głos:

- Zrób to, nie będzie ci powtarzał! Zrób to, albo ja będę zmuszona to zrobić. Tobie też!

Przerażony głos bardziej przypominał bełkot.

- Słuchaj jej – miękki, męski głos owinął się wokół mojego serca i leciutko je ścisnął. Chciałam zrobić, to, o co prosił. – To nic strasznego, widzisz? – Przekonywał, a ja miałam ochotę wejść tam i przytaknąć. Roman zauważył, co się dzieje i pokazał mi język. O co mu chodzi? Obnażył kły i symulował, że gryzie się w wystawiony język. Zrozumiałam. Ugryzłam mocno wewnątrz policzka, aż poczułam słodkawą i ciepły posmak krwi. Urok natychmiast minął i potrząsnęłam

głową zaskoczona. Roman spoglądał czujnie, czy jestem już sobą. Gdyby nie zauważył, mogłam wszystko spieprzyć.

Skinęłam mu głową w podziękowaniu. Wyprostowałam się czujnie, słysząc rumor za ścianą. Nie czekając na decyzję Romana, wparowałam do pokoju. To, co zobaczyłam, było zaskakujące i przerażające jednocześnie. Kilka kobiet klęczało na podłodze, z ramionami związanymi na plecach grubymi sznurami od zasłon i kneblami w ustach. Trzech mężczyzn, sądząc po strojach, utrzymanych w klimacie Tysiąca i jednej nocy, pracowników przybytku, trzymało je w szachu, mierząc w nie z półautomatycznych pistoletów. Czwarty z nich stał nad ciałem kobiety z kindzalem ociekającym krwią w dłoni i wyrazem całkowitego zagubienia na twarzy. A w środku tego bałaganu stał wysoki chłopak o urodzie modela z bladą gotką u boku i oldschoolowym coltem magnum w dłoni.

Identycznym jak ten, który pamiętałam z „Brudnego Harrego” oglądanego w dzieciństwie. Gotka i wampir spojrzeli na nas zaskoczeni naszym pojawieniem się. Reszta, pozostając w stuporze uroku, wydawała się nie kontaktować najlepiej rzeczywistości.

- Zatrzymajcie ich – rzucił wampir do uzbrojonych mężczyzn, a ci natychmiast zarejestrowali naszą obecność i posłusznie wymierzili w nas. Kolejny raz pożałowałam, że nie mam broni. Z drugiej strony... nie miałabym pewności, do kogo w

tym pokoju naprawdę powinnam strzelić.

Roman nie przejął się zbytnio lufami zwróconymi w jego stronę. Uniósł dłoń i wypowiedział jedno słowo, poczułam w powietrzu napięcie typowe dla uaktywnienia silnego zaklęcia, a w ciągu sekundy mężczyźni i związane kobiety osunęli się na podłogę w miękkie objęcia snu. Książę wampirów zrobił krok w stronę Bonawentury i powiedział twardo:

- To koniec.

Coś w jego głosie, nie urok, ale on sam, sprawiło, że nie można było nie uwierzyć, że tak właśnie jest. To koniec.

Bonawentura spojrzał na Claudię, bo to z pewnością była dziewczyna ze zdjęcia, z dziwnym uśmiechem i podniósł trzymanego w dłoni colta.

- To ja powiem, kiedy będzie koniec – powiedział dumnie.

Wymierzył w dziewczynę i odciągnął cyngiel. Claudia nagle zaczęła krzyczeć. Przerazający wrzask mroził krew w żyłach i odbijał się od ścian. W ułamku sekundy wpadła w histerię i zaczęła trząść się jak w febrze.

- On mnie zmusił, zabierzcie go, ratunku! – krzyczała, cofając się.

Potknęła się o stopę jednej z zakładniczek i upadła, ale nie przestała uciekać, po omacku odpełzała od Bonawentury, nie przestając krzyczeć, płakać i jęczeć. Roman doskoczył do wampira, który tylko przez chwilę stawiał opór, ale musiał

ulec przewadze mistrza. Stał wpatrzony w Claudię, z trudnym do odczytania wyrazem twarzy. Wpatrywałam się w niego, usiłując cokolwiek zrozumieć, ale wciąż miałam wrażenie, że coś mi umykało. Roman rozbroił go w sekundę i uderzył mocno w skroń, chłopak zachwiał się i upadł na podłogę jak długi. Claudia obserwowała to z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Jesteś jak on! – krzyknęła. – Ratunku!

Roman cofnął się o krok. Może faktycznie wysokie tony, jakie wydostawały się z gardła dziewczyny były dla niego jeszcze bardziej nieprzyjemne, niż dla mnie. Możliwe też, że wykazał się całkiem sporą jak na wampira wrażliwością i zrozumieniem dla traumy, jaką dziewczyna prawdopodobnie przeżywała. Podeszłam do niej i pomogłam jej wstać.

Rozejrzałam się po zabałaganionym pokoju, aż znalazłam na szezlongu pikowaną, satynową narzutę w dwóch odcieniach mocnego różu. Dziewczyna trzęsła się coraz bardziej, najwidoczniej

w

szoku.

Owinęłam

ją

narzutą

i

wyprowadziłam z pokoju, pozwalając, by Roman wezwał pomoc. Tym razem nie miał oporów, przed użyciem więzi telepatycznej. Po kilku minutach winda wjechała na górę, wypełniona do granic możliwości roslymi służącymi, uderzająco przypominającymi kierowcę i mięśniaka, których wcześniej widziałam. Może Roman zamawia ich z jakiegoś katalogu. Podprowadziłam dziewczynę do wyściełanej ławeczki i posadziłam tak, że miała przed sobą tylko białą, marmurową ścianę holu, żadnych trupów w zasięgu oka. Ciałami przy windzie zresztą natychmiast ktoś się zajął. Dwóch mężczyzn uwijało się przy śpiących zakładniczkach, rozwiązywali je, zdejmowali kneble i nie przerywając ich snu, wywołanego bez wątpienia magią Romana, wynosili je pojedynczo za kolejne drzwi. Zajrzałam tam na chwilę. Była to zdecydowanie nieoficjalna część przybytku i mieściło się tam coś na kształt dormitorium. Stalowe ramy dwudziestu łóżek, kolorowa pościel, zdjęcia w ramkach na nocnych szafkach. Tak mogłaby wyglądać wspólna sypialnia w szkole dla dziewcząt, a nie pokój w lokalu dla wampirów, pragnących pożywiać się jak za starych dobrych czasów, a nie z woreczka. Ochroniarze mijali mnie bez słowa i układali dziewczęta na łóżkach, okrywając ich obnażone ciała kołdrami. Ich oszczędne ruchy były całkowicie aseksualne, nawet kiedy otulali nagie piersi ślicznych kobiet. Czyżby



podtrzymywano tu tradycję eunuchów, czy może okoliczności

były tak nietypowe, że testosteron przestawał działać?

Do drugiego, podobnie urządzonego pokoju, zanieśli

chłopaków raczej niż mężczyzn, na oko dwudziestoletnich,

urodzivych w dokładnie takim stylu, jakiego można się było

spodziewać po miejscu ich pracy. Nie wiem, ile będą

pamiętać, ale podejrzewałam, że to oni zabili dziewczęta. Nie

sami, ale na życzenie Bonawentury. Życzenie, które nawet

mnie oplątało macką, choć byłam wiedźmą i magia powinna

w dużym stopniu mnie chronić. Ostatecznie ochroniła, kiedy

przywołałam ją przez krew, ale niewiele brakowało. Szóstka

dziewcząt miała się już nie obudzić. Byłoby ich więcej,

gdybym nie spanikowała i nie wsiadła do windy, zamiast

zbiec po schodach. Roman sprawnie zarządzał ludźmi, którzy

mieli posprzątać ten bałagan. Po kilku minutach pusta winda

zjechała na dół, by po chwili wrócić z niewysokim mężczyzną

w garniturze i okazałą torbą lekarską w dłoni. Unikając

patrzenia mi w oczy poszedł prosto do dormitorium.

Roman znów podszedł do mnie niezauważony. Położył mi

dłoń na ramieniu, a ja podskoczyłam pół metra w górę.

- Możesz już iść, wiedźmo. Dziękuję za pomoc – powiedział

cicho.

Pokręciłam głową. Nie byłam gotowa, by odejść. Miałam

wciąż więcej pytań niż odpowiedzi.

- Co z nią?

- Jest w szoku, obejrzy ją lekarz, a później odwiozę ją do domu.

- Nie rób tego – powiedziałam szybko, oglądając się, czy dziewczyna mnie nie słyszy. – Powinna zostać... Choćby na czas wyjaśniania tego wszystkiego. Zanim zdecydujemy co dalej. Na razie oboje powinni zostać pod strażą.

- A co tu jest do wyjaśniania, Doro? Wampir, który oszalał jest oczywistym zagrożeniem dla otoczenia i jest tylko jeden sposób, by zamknąć tę sprawę. – Wzruszył ramionami, ale smutek w jego oczach był wyraźny. – Nie spodziewałem się, przysięgam, nie wiedziałem, że jest do tego zdolny, że mógłby wykorzystać swoje umiejętności w tak... okrutny sposób.

Nawet nie odebrał im życia sam, ale użył tych chłopców jako narzędzi... Nie wiem, czy zdołam im pomóc o tym zapomnieć,

bo

niełatwo

usunąć

tak

traumatyczne

wspomnienie... W stadku Anastasji Afanasjewnej wydawał się najcichszą owcą. Dziś wiem, że był wilkiem w owczej skórze. Całe życie się człowiek uczy, wampir nawet więcej,

bo i życie dłuższe – uśmiechnął się cierpko i uciekł spojrzeniem.

- Roman, jak dobrze go znałeś?

- Nie dość, jak widać.

- Czy uwierzyłbyś, w to co się stało, gdybyś tego nie widział na własne oczy? – zapytałam ostrożnie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Nie mogłam wciąż uchwycić tej myśli, która gdzieś w tyle głowy nie dawała mi spokoju, ale coś mi w tym wszystkim nie pasowało.

- Daj mi trochę czasu – poprosiłam – ja... muszę wiedzieć.

Nie potrafię bez dowodów przyjąć tego, co się stało.

- Nawet jeśli widziałaś to na własne oczy?

- W tym sęk. Mam poważny kłopot z nazwaniem tego, co widziałam.

Spojrzał na mnie, jakby chciał zajrzeć do mojej głowy i sprawdzić, o co mi chodzi.

- Dobrze, masz dwadzieścia cztery godziny, nim zapadnie na niego wyrok.

- Jest jeszcze coś – przełknęłam głośno, nim powiedziałam – muszę porozmawiać z Anastasją Afanasjewną.

\*

Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt i gęste brązowe włosy splecione we francuski warkocz. Wełniana sukienka tuba

miętko opływała jej kształtne ciało, a szafirowy odcień materiału podkreślał niezwykłą, połyskliwą jak powierzchnia morskiej perły bladość skóry. Była piękna, ale w jej frenetycznych, jakby nie do końca kontrolowanych ruchach, gdzieś na pograniczu nerwowych tików a szamotaniem dzikiego zwierzęcia w klatce, było coś, co kazało mi się mieć na baczności. Byłam w pokoju blisko dwie minuty, nim zauważyła moją obecność. Zatrzymała się gwałtownie, jakby ktoś pociągnął jej postronek, i wpatrywała się we mnie oczami tak jasnymi i przejrzystymi jak dwa okruchy lodu. Pokój dzieliła na dwie części tafla zbrojonego szkła. Po jej stronie była niewielka cela z pryczą, stolikiem z pojedynczym krzesłem i toaletą za niskim parawanem. Po mojej tylko plastikowe krzesło. Brakowało okien, co oczywiście miało sens, skoro cela przeznaczona była dla wampira. Jedynym źródłem światła była żarówka osłonięta brzydkim, białym kloszem.

- Nie jesteś jedną z nich – powiedziała nagle. Akcent sprawiał, że każde słowo zabrzmiało ostro, a słowa padały w twardo odmierzonym rytmie.

- Nie wiem o czym mówisz – powiedziałam, siadając na krześle i wyciągając z kieszeni notatnik.

- Nie jesteś jedną z Konklawe.

- To oczywiste – przyznałam. – Nie jestem nawet wampirem.

Choć chciałam porozmawiać z tobą o jednym wampirze.

- Och, to w to się bawimy! – Jej głos nagle zmienił się w niemal dziecięcy szczebiot. Zaklaskała w dłonie, wyraźnie podekscytowana. – Cudownie! To takie podniecające, daj mi chwilkę, zaraz będę gotowa.

Odwróciła się do mnie plecami, opuściła głowę i dłońmi przygładziła gładko włosy. Wyprostowała się i na chwilę zastygła bez ruchu. A kiedy obróciła się w moją stronę, wydawała się być już całkiem inną osobą. Chłodną, wyrachowaną i dobrze wychowaną. Przysunęła sobie krzesło tak, że kiedy usiadła, jej kolana niemal dotykały zbrojonej szyby. Założyła nogę na nogę, pozwalając, by zamszowy pantofelek zakolysał się na czubkach palców.

- A więc, o czym chcesz rozmawiać, Clarise? – zapytała niższym, niż jej wcześniejszy głos.

Miałam ochotę parsknąć śmiechem, ale powstrzymałam się.

Wedle Romana była jak tykająca bomba, a ja wciąż miałam pytania, na które nie znajdowałam odpowiedzi.

- Mam na imię Dora i z całą pewnością, nie będziemy rozmawiać o żadnych owcach, beczących czy milczących – powiedziałam twardo.

- Więc o czym będziemy rozmawiać?

Nachyliła się lekko, wspierając łokcie o kolana.

- O Bonawenturze. Twoim synu.

- Och, o Bonniem? A cóż w nim takiego ciekawego, by wart był tego, żeby Roman przynosił mnie z aresztu do tej nad wyraz sprytnej celi?

Zastanawiałam się, ile mogę jej powiedzieć by osiągnąć cel, a czego nie mówić, by nie storpedować całego zadania.

- Opowiedz mi o nim, jaki jest?

- Coś za coś, ty mi powiedz, dlaczego uważasz go za interesującego. Bonnie jest nikim, rozumiesz? Miał szansę, dostał dar, który mógł go wynieść ponad przeciętność, ale nie miał jaj, by z tego skorzystać. Dla niego przemiana nie była wyzwoleniem, popełniłam błąd, wybierając go. Był taki ładniutki. – Uśmiechnęła się i był to najbardziej erotyczny uśmiech, jaki widziałam. – Czy nadal jest taki ładny? Podoba ci się mój mały chłopiec?

- Tak – podjęłam grę – jest ślicznym chłopcem, ale czegoś mu brakowało, skoro go wyrzuciłaś z domu...

- Och... – Cień gniewu przemknął przez jej idealną twarz dziewczyny z dobrego domu. – Miał skazę. Za dużo więzów. Nic nie zgubił, a tylko nabrał nowych. Wciąż mnie pouczał, jakby nie był tylko małym chłopcem, którego dla zabawy trzymałam w pobliżu. Nie wolno, nie powinnaś, nie chcę – brzmiała jak rozkapryszony bachor, którym, po prawdzie, była. – Więc gdy przebrała się miarka... kazałam mu odejść. Zabrałam wszystko, co mogło go ogrzać od środka. Chciałam,

by zobaczyć... – urwała nagle i zmrużyła oczy. – Dość, nie

więcej ci nie powiem, dopóki nie powiesz mi, czemu chcesz

wiedzieć cokolwiek o Bonniem!

- Jest odpowiedzialny za zabicie jedenastu osób. Prowadzę śledztwo w jego sprawie – powiedziałam w końcu, widząc, że jeśli nie dostanie, czego chce, naprawdę się zamknie i będzie po sprawie. Na wieść o występkach syna jej oczy zrobiły się większe. Przez chwilę jej mina wyrażała niedowierzanie, które płynnie przeszło w ekstatyczną radość. Zerwała się z krzesła i znów krążyła od jednej ściany do drugiej, klaszcząc co chwila w białe dłonie.

- Och, to wspaniale... a więc udało się, wreszcie się udało!

Tak długo szukałam sposobu, a wystarczyło go odesłać... Coś pękło, musiało... Sam, bez opieki musiał go znaleźć, nie miał wyjścia. – Zaśmiała się w głos i przyklasnęła swojemu mętnemu monologowi.

- Nie dziwi cię, że zabił? – zapytałam.

Obróciła się gwałtownie i znów wbiła we mnie oczy niby okruchy lodu.

- Oczywiście, że dziwi! Nawet nie liczyłam na to, że to jednak możliwe! Że zdoła pokonać kolejne szczebelki sam! Łamałam go ponad trzydzieści lat, a on potrzebował samotności i przestrzeni, czyż to nie wyborne?

Zaśmiała się piskliwie i obróciła jak baletniczka z pozytywki.

Wydawało się, że zapomniała o moim istnieniu. Nuciała pod nosem jakąś melodię i okręcała się na palcach, by zakończyć figurę wdzięcznym przegięciem z ramionami uniesionymi nad głowę. Odplynęła w swój świat, który dla nas był po prostu szaleństwem. Tylko dlaczego najbardziej szalona wampirzyca w okolicy, mająca na sumieniu wielu, w tym zabójstwo progenitury (które to przestępstwo ściągnęło na nią uwagę Konklawe), zachowuje się teraz jak mała dziewczynka, która marzy o roli w Jeziorze Łabędzim? Wyszłam z pokoju ze zmałą głową, a układanka zamiast mniej, miała luk coraz więcej.

Roman czekał na mnie na korytarzu. Opierał się o ścianę i znów udawał, że jest całkiem rozluźniony. Jasne.

- On nie chce rozmawiać – powiedział cicho.

- Może ze mną porozmawia? Nie jestem groźnym mistrzem wampirzym i nie mam w dłoniach jego życia?

- Czy to nie ironia? Właśnie ty je masz w swoich dłoniach, więdźmo.

Strażnik otworzył mi drzwi do celi Bonawentury. Tym razem była to regularna cela bez szklanej tafli. Czy tylko ja dostrzegam w tym paradoks? Młody wampir siedział skulony na łóżku, wciśnięty w kąt. Nawet na mnie nie spojrział, całkowicie skupiony na ścianie przed sobą. Usiadłam na krześle.



- Może opowiesz mi, jak do tego wszystkiego doszło?

Bonawentura czy Bonnie? Jak wolisz, by na ciebie mówiono?

Drgnął, jakbym go uderzyła. A więc dobrze się domyśliłam.

- A jak Claudia się do ciebie zwraca?

Nie odpowiedział, ale przestał wpatrywać się w ścianę i

próbował skupić na mnie spojrzenie. Ze słabym rezultatem.

Oczy same uciekały mu w bok, jakby panicznie bał się

kontaktu wzrokowego.

- Bonnie i Claudia... Ciekawy zbieg okoliczności, nie

uważasz? Ale skończyło się inaczej... Tamci dostali po ponad

pięćdziesiąt kul, wpadli w ręce policji, jak dzikie zwierzęta w

polowaniu z nagonką. A później zginęli. Razem. Tamta

Bonnie to przewidziała... napisała o tym wiersz. Nie pomyliła

się za bardzo. Może tylko nie przewidziała, że policja

zmarnuje na nich ponad setkę kul... – mówiłam cichym,

monotonnym głosem, który chyba przedzierał się do jego

świadomości, bo zdołał spojrzeć mi w oczy i zaciskał

bezradnie pięści na szczupłych łydkach. – To mimo wszystko

była piękna śmierć, mimo tych kul. Romantyczna. Widziałeś

film? Warren Beatty i Faye Dunaway... mogłeś widzieć ten

film jeszcze jako człowiek... Nakręcono go w 1967 roku... Ile

miałeś wtedy lat? Sześć?

- Dwa – szepnął.

- Piękny film... Oni byli tacy piękni, wspaniali, zakochani. I

mieli szczęście, bo zginęli razem. Wyobrażasz sobie, jak straszne byłoby, gdyby któreś z nich przeżyło i musiało żyć samotnie?

Po policzku wampira spłynęła kropla, później następna.

- Nie tak miało być – szepnął tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Nie powiedział nic więcej, choć zadawałam pytania czy próbowałam go podejść opowieścią o parze przestępców, którzy nie mieli nic do stracenia. Popadł w stan bliski katatonii. Obejmował się ciasno ramionami i kołysał na łóżku.

Roman wciąż stał na korytarzu. Musiał wszystko widzieć i słyszeć przez lufcik w drzwiach do celi Bonawentury. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, kiedy zapytał:

- Czy teraz wiesz już wszystko?

- Nie wiem nawet połowy. Ale sądzę, że bardziej ja jestem wilkiem, niż on – powiedziałam.

- Niezamierzona gra słów, panno Wilk? – uśmiechnął się pierwszy raz odkąd złapaliśmy Bonawenturę.

- Och, ugryź się, wasza kąśliwość – mruknęłam dla porządku, by nie myślał, że jego jest na wierzchu.

- Więc co dalej? Jak zamierzasz zaspokoić swój apetyt na prawdę?

- To oczywiste. – Wzruszyłam ramionami. – Jest jeszcze tylko jedna osoba, która nie przedstawiła nam swojej wersji

wydarzeń.

- Wiesz, że to nie jest dobry pomysł? Już i tak odszkodowanie dla niej będzie kolosalne, a jeśli jeszcze przez ciebie przeżyje załamanie nerwowe, nie wypłacę się jej.

- Nie martw się, jeśli mam rację, twoje stawki ubezpieczeniowe nie wzrosną.

- A jeśli jej nie masz?

- Zaryzykuję. W końcu to nie moje pieniądze. –

Uśmiechnęłam się i weszłam do ostatniej zajętej celi.

Która, przyznaję uczciwie, nie wyglądała jak cela, raczej jak pokój w sanatorium, z drewnianym łóżkiem, fotelem i stolikiem kawowym. Claudia uniosła głowę, kiedy usłyszała, że wchodzę. Wydawała się dość spokojna, choć oczy dość szybko napełniły jej się łzami. Może przypomniała jej się ta chwila, kiedy wyprowadziłam ją z pokoju, owiniętą narzutą?

- Przyszła pani zadać mi pytania... o Bonniego? – powiedziała drżącym głosem, potwierdzając przynajmniej pewną część moich podejrzeń.

Przytaknęłam, a ona wzdychając ciężko zaczęła opowiadać o tym, jak ciężko jej było w domu, w którym nikt jej nie rozumiał, jak poznała miłego chłopaka, dzięki któremu czuła się piękna i wyjątkowa, a on ukrywał przed nią swój stan.

Przecież poznała go w Toruniu, w ludzkim klubie, skąd mogła przypuszczać, że nie jest człowiekiem, jak ona? Nie

zauważyła, kiedy ją omotał, kiedy zaczął nią sterować, zmuszać, by robiła straszne rzeczy, takie, których nigdy nie zrobiłaby sama z siebie. Nie chciała tego, ale on miał nad nią kontrolę. Ona nie chciała! Zmusił ją, by przyprowadziła mu koleżankę, a on ją zabił, na jej oczach, zrobił to, jakby to było zupełnie proste! I czuła przymus, by go słuchać, by zabić, kiedy kazał jej to zrobić. Jej opowieść układała się w logiczną i spójną całość. Przerazająco logiczną.

Płakała, zalewała się łzami, ale nie przestawała mówić, jakby pękła w niej jakaś tama. Ze szczegółami opowiedziała o Amelii, porzuconej koło baru Pilon. O trójce czarowników zabitych w horderskim mieszkaniu. O lokaju i każdej kolejnej dziewczynie z haremu krwiodajek. Po pół godzinie uznałam, że usłyszałam dość. Wyszłam na korytarz, głównie po to, by odetchnąć świeżym powietrzem. Roman opierał się o ścianę, usta miał zaciśnięte w wąską, pobielającą linię, kły odznaczały się pod górną wargą.

- I jak, teraz wiesz już wszystko?

- Prawie. Jestem bliżej prawdy niż kiedykolwiek. –

Skrzywiłam się lekko.

Może byłoby mi lżej, gdybym nie wiedziała, ale za późno. O kilkanaście lat. Musiałam wiedzieć. To była kwestia zasad, a tych musiałam się trzymać, tym mocniej, im mocniej zmieniało się moje życie w ostatnim czasie. Możesz zabrać

dziewczynę z policji, ale nie zabierzesz tak łatwo policji z dziewczyny.

- Ostatni akt. Słuchaj uważnie. I włącz nagrywanie, jeśli masz tam odpowiedni sprzęt – powiedziałam nim wróciłam do Claudii.

- Muszę ci zadać jedno pytanie – zagałam.

Uniosła głowę i mimo łez widziałam, że jest czujna, całkiem przytomna.

- Jak sądzisz, dlaczego on to zrobił? Nie daje mi spokoju to, że nie wiem...

- On... Myślę, że chciał być kimś więcej niż był... – zaważała się na chwilę, ale kontynuowała – miał dość bycia nikim.

- Ale dlaczego zabójstwa? Dlaczego musiał zabić, by być kimś?

- Bo to pokazało, że miał siłę! Dość dużą by zabić! Miał władzę nad tymi ludźmi, magicznymi... Zdołał nawet dostać się do pałacu księcia i zabić! To więcej niż zabójstwo, to prawdziwy wyczyn! Czuł, że może być z siebie dumny. Nikt się po nim tego nie spodziewał, ale pokazał, co potrafi. Już nikt nigdy go nie zlekceważy... Myślę, że właśnie dlatego to zrobił. Mówił mi o tym...

Przytaknęłam i wstałam, zamykając notes, w którym notowałam fragmenty jej wypowiedzi.

- To koniec, Claudio – powiedziałam, stojąc przy drzwiach –

możesz odetchnąć. Ten koszmar się skończył. Wszyscy rozumiemy, że on jest wampirem, a ty tylko niewinną dziewczyną, zbyt słabą, by się bronić. Nikt nie może winić ofiary, jestem pewna, że ludzie szybko o tobie zapomną i zaznasz spokoju. Bonawentura zostanie ukarany, a ty możesz wrócić do swojego dawnego, bezpiecznego życia. Do rodziny, do szkoły, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Jakby nie było ostatnich miesięcy. Mogę poprosić Romana, by usunął ci wspomnienia z czasu, który spędziłaś z Bonawenturą, wspomnienia tych okropnych rzeczy, które widziałaś. Byłabyś taka, jak przedtem... Nikt nie musi wiedzieć, że byłaś wplątana w taki koszmar... My zatuszujemy wszystko, nikt, nigdy się nie dowie – mówiłam spokojnym, perswazyjnym tonem.

Emocje przepływały przez jej twarz jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Czułam, że to narasta, buduje się w niej, ale i tak zaskoczył mnie gwałtowny wybuch. Gdzieś zniknęła słodka, skrzywdzona nastolatka. W ułamku chwili zobaczyłam dziewczynę, która miała ręce po łokcie unurzane w krwi.

- Nigdy tam nie wrócę! Nie możesz mi tego zrobić! Nie jestem zwykłym śmiertelnikiem! Zwykli ludzie nie trzymają w dłoniach życia innych, nie czują jaką to daje siłę! Byłam bogiem i nie mogę żyć, jakby to się nie wydarzyło! Nie pozwolę wam odebrać mi tej siły! Bonnie silny? Byłby nikim,

gdyby nie ja! Musiałam go zmusić, by zabił tą sukę! Trzymać ją, bo zamiast ją gryźć, chciał uciekać! Musiałam mu mówić, co ma robić! To ja jestem silna, nie on!

Krzyczała te i wiele innych słów, ale ja już jej nie słuchałam.

Zostawiłam ją samą ze swoim szaleństwem. Roman

oczywiście stał na korytarzu. Jego twarz nie wyrażała nic, a

już na pewno nie zaskoczenie. Oparłam się o ścianę obok

niego. Przez chwilę nie rozmawialiśmy, jakby wciąż trawiło

się w nas to, co wydarzyło się w ciągu nie całej doby.

- Co zrobisz z Bonawenturą? – zapytałam w końcu.

- A co twoim zdaniem powinienem z nim zrobić? Zabił

jedenaście osób.

- Wiem. Ale gdyby nie ta pannica, nigdy by tego nie zrobił. To

paradoks, nie uważasz? Ta mała dokonała przez kilka tygodni

tego, czego nie zrobiła szalona Anastasja Afanasjewna przez

trzydzieści lat. Zamieniła go w zabójcę.

- Anastasji nie kochał.

Skinęłam głową. Sama doszłam do podobnych wniosków.

- On wciąż może mieć szansę, Roman... Wiesz, po czym

rozpoznajemy w ludzkiej policji psychopatów? Nie znają

wartości ludzkiego życia. Nie mają wyrzutów sumienia.

Widzą w człowieku tylko środek do celu, jakim może być

choćby ich satysfakcja czy poczucie własnej wartości.

Bonawentura nie jest psychopatą. Miał pecha, bo jedna

psychopatką zmieniła durnego i emocjonalnie niedojrzałego

chłopaka w wampira, a gdy wyrzuciła go z domu, jakimś

cudem trafił w ręce kolejnej, która weszła w buty po jego

mamusi, ale miała swój własny zestaw środków perswazji...

Gdyby nie one, nie zabiłby.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Mogę w to wierzyć, a to w tym momencie właściwie to

samo.

- Ale ja mam związane ręce, więdźmo. Konklawe wysłało już

egzekutora po Anastasję Afanasjewnę. Wkrótce tu dotrze. Nie

będzie słuchał twoich rzewnych opowieści o nieszczęśliwym

chłopaku. Fakty są takie, że zabił jedenaście osób. Dla nich to

powód do wyroku śmierci.

- A dla ciebie? Też ci obojętne jak do tego doszło? Masz w

nosie co się z nim stanie? Będziesz dobrze spał, wydając go

Konklawe?

- Skąd nagle troska o mój sen, więdźmo?

- Znikąd, nieważne. Po prostu chciałam wiedzieć.... Bo gdyby

nie było ci to obojętne, przecież nie musiałbyś im mówić o tej

całej sprawie. Nikt prócz nas i kilku sług, co do których jestem

pewna, że są dyskretni jak kamienie nagrobne, nie wie o

całym zdarzeniu. Oczywiście są ofiary i boleję nad nimi z

całego serca. Ale masz dwie psychopatki w areszcie, a ja z

całym przekonaniem byłej policjantki mówię ci, że to one są



winne.

- Więc nikt nie musi wiedzieć o Bonawenturze, tak? A ja mam go wypuścić na ulice, mając twoje słowo za gwarancję, że on nie zabije znowu?

- Nie masz go wypuszczać. Masz go resocjalizować. Nie wiem ile to potrwa, pięć lat czy pięćdziesiąt, sam będziesz wiedział...

- A mam to zrobić, bo?

- Każdy zasługuje na drugą szansę, jeśli szczerze żałuje popełnionych błędów, a jestem pewna, że on żałuje.

- Nie mogę cię rozgryźć, więdźmo...

- I niech tak zostanie, ja w jednym końcu pokoju, twoje zęby w drugim. – Uśmiechnęłam się czarująco. – Zrobisz co uznasz za słuszne, ja swoją robotę wykonałam. Muszę iść do matki tej dziewczyny i powiedzieć jej, że sprawy z całą pewnością nie skończyły się dobrze.

\*

W Szatańskim pierwiosnku powoli robiło się tłoczno. Z

grającej szafy dobiegało „Carry on wayward son” Kansas.

Rewelacyjny kawalek. Próbowałam delektować się muzyką

albo chociaż trzecim drinkiem, jaki w siebie wlewałam, ale

wciąż widziałam reakcję matki Claudii na wiadomości, jakie

przyniosłam. Strach, ulgę, wstyd, że poczuła ulgę, pustkę, gdy

uświadomiła sobie, że to koniec... To była jedna z

najtrudniejszych rozmów, jakie w życiu odbyłam.

Na odchodne spakowałam wszystko, co dziewczyna zgromadziła w swoim ołtarzyku. Worek wrzuciłam do rzeki.

Nic, skuteczniej od płynącej wody, nie oczyści przeklętych przedmiotów. Gdybym była przesądna, powiedziałabym, że to właśnie one sprowadziły na Claudię i jej rodzinę kłopoty. Ale nie było to takie proste, a ja nie zamierzałam się okłamywać.

Te cholerne klamoty były objawem, nie przyczyną. To one podsunęły mi wątpliwości, co do niewinności dziewczyny.

Czy takie delikatne i cnotliwe dziewczątko, jakim próbowała stać się w naszych oczach, byłoby zdolne przez lata torturować swoją rodzinę? Wilk może i przybrał owczą skórkę, ale rodzina nosiła ślady wilczych zębów.

Za ołtarzykiem w szafie znalazłam skrytkę, a w niej metalowe pudełko po piernikach, pomalowane na czarno, ze znakiem skażenia chemicznego na wieczku. Nasza mała Claudia, jak każda dziewczynka, miała swój mały skarbczyk z pilnie strzeżonymi tajemnicami. Ale szłam o zakład, że jego zawartość odbiegała od średniej. Nie było w nim różowego pamiętnika, zaszuszonej różyczki czy biletów do kina z pierwszej randki. Przez chwilę przeglądałam zgromadzone w nim przedmioty. Głównie zdjęcia. Można by uznać je za efekt całkiem niezłej sesji – mocno umalowana Claudia, z oczami otoczonymi grubą kreską eyelinera i krwistymi ustami, z

nastroszonymi włosami wyglądała całkiem ładnie. Czarna sukienka i tony srebrnej biżuterii na szyi, nadgarstkach, w uszach. Beretta, dziwnie duża przy drobnej dłoni dziewczyny. Na niektórych zdjęciach celuje z niej w obiektyw, na innych trzyma ją blisko piersi, lub oblizuje z uśmiechem stal lufy. Gdyby nie finał tej historii, uznałabym, że to tylko głupia zabawa. Dłużej przyglądałam się zdjęciu, na którym dziewczyna uśmiecha się, trzymając broń tuż przy twarzy. Czerń lufy kontrastowała mocno z jasną, upudrowaną twarzą, komponując się z ciemnymi włosami, opływającymi twarz malowniczą falą. Było w jej oczach na zdjęciu coś, co przyprawiało mnie o dreszcz. Były całkiem zimne, niemal martwe, pozbawione emocji. Patrzyłam w oczy wielu złych osób, ale może kwestia jej wieku – zdjęcia zrobiono dwa, może trzy lata temu – sprawiała, że czułam się bardziej chora, widząc takie spojrzenie u nastolatki. Wtedy jeszcze nawet nie znała Bonawentury. Miała plan, ale potrzebowała narzędzia, by je zrealizować. Wcisnęłam zdjęcia z powrotem do puszki, a tę do worka z całym tym magicznym gównem, którym terroryzowała rodzinę. Były równie złe, jak kości i czarne kryształy. Może nie powinnam tego robić, ale uznałam, że lepiej dla jej matki, by nigdy nie zobaczyła tych zdjęć. Wolała wierzyć w podłego wampira, który sprowadził jej córkę na drogę występku. Kim byłam, by odbierać jej wiarę? Czy w

imię uczciwości miałam ją zostawić z wiedzą, że jej dziecko było złe do szpiku kości na długo zanim zdołało zrealizować swoje fantazje o zabijaniu? Wyrzuciłam zdjęcia do rzeki, pozwalając, by i je oczyściła płynąca woda. Wychodząc z domu Kaliny, nie mogłam jej spojrzeć w oczy. Obiecałam jej spokój... Będzie go miała, choć cena była naprawdę wysoka. Upiłam kolejny łyk alkoholu, żałując, że nie mogę się upić.

Palił w gardle, ale nie znieczulał wystarczająco, bym zapomniała o Kalinie, Claudii, Bonawenturze. Może wydębnię od Leona trochę ogni piekielnych – ich moc zwałała większych i potężniejszych ode mnie, a chyba właśnie tego dziś potrzebowałam. Podniosłam się od stolika i w tym samym momencie zauważyłam Romana, który jakby nigdy nic wkraczał do Szatańskiego pierwiosnka.

- Witaj wasza kąśliwość, stęskniłeś się, czy zabłądziłeś? – zapytałam, kiedy podszedł do mnie, zgrabnie wymijając tarasujących mu drogę czortów i podchmielone psy piekielne.

- Mam sprawę, możemy wyjść na zewnątrz?

- Ostrzegam, jeśli myślisz, że możesz mi mieszać w głowie i wciskać kity, że to wszystko się nie wydarzyło, zabiję cię gołymi rękoma – warknęłam.

- Nic z tych rzeczy, skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – Uniósł brew w wyrazie urażonej niewinności. Jasne. Od kilku godzin zastanawiałam się, kiedy się zorientuje, że w gruncie

rzeczy wiem za dużo. I przyjdzie. I przylazł.

- Masz mi coś do powiedzenia, możesz rozmawiać przy wszystkich. Przecież nie ma między nami intymnych sekretów – uparłam się.

- Nie ma? – Popatrzył tak intensywnie, że zrobiło mi się gorąco.

No, cholera! Wstałam i zgarnęłam z krzesła kurtkę, szal i torbę. Ubrałam się nim doszłam do drzwi, celowo nie pożegnałam się z Leonem, by miał na mnie oko jakby co i sprawdził, czy wszystko ze mną w porządku.

Na ulicy było zimno i wietrznie. Odruchowo objęłam się ramionami, by zatrzymać ciepło ciała.

- Więc? Czego chcesz?

- Nie zaprosisz mnie do domu? – Wskazał na kamienicę naprzeciw Szatańskiego pierwiosnka, w której mieszkałam.

Znał adres, bo ofiarowała mi ją Starszyzna. Jego podpis też był na akcie darowizny.

- Jasne. Bo urodziłam się wczoraj i od razu na główkę upadłam. Mów, co masz do powiedzenia, zanim odpadnie mi tyłek na zimnie.

- To, co się wydarzyło przez ostatnią dobę... nie wydarzyło się.

- Chyba cię pogięło! – Złapał mnie za rękę, nim go minęłam.

- Źle się wyraziłem. – Uśmiechnął się tylko odrobinę

złośliwie. – Chodziło mi o to, że nikt, poza nami nie może się o tym dowiedzieć. A już na pewno nie Konklawe, rozumiałaś?

Przez chwilę przyglądałam mu się z bliska. Brązowe oczy połyskiwały plamkami bursztynu. Prosty nos, dość kształtna, może nawet przystojna twarz, przydługie włosy. Może byłam naiwna, lecz to była twarz człowieka, któremu można, w pewnych bardzo określonych warunkach, ale jednak, zaufać.

- Zrozumiałam – powiedziałam. – Udało ci się?

- Ocalić twojego nieszczęśliwego wampirka? Tak. I może nawet uda się go, jak to powiedziałaś, zresocjalizować.

- Cieszę się.

- Czy tak samo cieszyłaś się, trzymając w dłoni serce Victora?

- Nie, to zupełnie inny typ radości – mruknęłam.

Zaśmiał się cicho. Sięgnął za pazuchę (dzwonki alarmowe w mojej głowie rozdzwoniły się jak szalone) i wyciągnął z kieszeni kopertę. Wręczył mi ją z dziwnym uśmieszkiem.

- Co to jest? – zapytałam, trzymając ją dwoma palcami.

- Nazwijmy to powołaniem do służby.

Nadal nie otwierałam koperty, tylko patrzyłam na wampira, który wydawał się zbyt cholernie zadowolony z siebie, by to mogło się dobrze dla mnie skończyć.

- Nie otworzysz?

- Nie wybuchnie?

- Sama słodczyz, doprawdy. – Wyszczrzył się i odszedł bez pożegnania.

Ostrożnie wyciągnęłam złożoną na trzy kartkę. Gruby, welinowy papier i pieczęć Starszyny na dole zaskoczyły mnie i trochę przstraszyły. Chyba nie chcą odebrać mi mieszkania? Przebiegłam wzrokiem pismo. Gdy skończyłam zrobiłam to jeszcze raz. Słowa: nominacja, namiestniczka, służba migają mi przed oczami. Drzwi Szatańskiego uchyliły się, buchnęła muzyka, a wielki czart wyłonił się z miną zabójcy. Rozejrzał się uważnie i uspokojony podszedł. Spojrzał na papier, który wciąż ścisnęłam w dłoni.

- Coś złego? – zapytał.

- Nie, myślę, że wręcz przeciwnie, coś bardzo dobrego. – Uśmiechnęłam się i podałam pismo Leonowi. Przeczytał je uważnie i kiwnął głową.

- No, nie tacy głupi, jak sądziłem, że są – powiedział spokojnie.

Pociągnęłam go z powrotem do wnętrza baru. Z szafy grającej akurat płynęły pierwsze rytmiczne akordy „War coward” Fire! Santa Rosa Fire!, a to był naprawdę dobry kawałek. Szkoda byłoby go stracić.